

XXV OGÓLNOPOLSKI
KONKURS LITERACKI

IM. MIECZYŚŁAWA STRYJEWSKIEGO

LĘBORK, 26 LISTOPADA 2010 R.

ORGANIZATORZY

Burmistrz Miasta Lęborka
Rada Miejska w Lęborku
Zarząd i Rada Powiatu Lęborskiego
Katolickie Stowarzyszenie Civitas Christiana
Miejska Biblioteka Publiczna w Lęborku
Zrzeszenie Kaszubsko-Pomorskie
Zespół Szkół Ogólnokształcących Nr 1 w Lęborku
Lęborskie Centrum Kultury „Fregata”

KONKURS SFINANSOWAŁA

Gmina Miejska Lębork

z pomocą

Urzędu Marszałkowskiego Województwa Pomorskiego
Samorządu Powiatu Lęborskiego
Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego w Gdańsku
Katolickiego Stowarzyszenie Civitas Christiana w Gdańsku



PATRONAT HONOROWY:
MARSZAŁEK WOJEWÓDZTWA POMORSKIEGO
Patronat prasowy DZIENNIK BAŁTYCKI



* * *

*jeżeli się nie zasłonię
murem obojętnych słów
przyjdą popatrzą
przez inne szkiełka
na moje sprawy
zmaleją smutki
zgasną radości
w ich szkiełkach
ich oczach*

Mieczysław Stryjewski



JURY

Kazimierz Nowosielski – przewodniczący

Bożena Ugowska

Daniel Odija

Roman Pryl

Wojciech Wencel

LAUREACI

Nagroda Grand Prix Marszałka Województwa Pomorskiego
Edyta Wysocka (Miastko)

W KATEGORII POEZJI:

I nagroda Burmistrza Miasta Lęborka
Marika Kalinowska (Lubin)

II nagroda Przewodniczącej Rady Miejskiej w Lęborku
Ela Galoch (Turek)

III nagroda
Katarzyna Zajac (Ozimek)

W KATEGORII PROZY:

I nagroda Starosty Powiatu Lęborskiego
Paulina Danecka (Gdańsk)

II nagroda Przewodniczącego Rady Powiatu Lęborskiego
Czesław Markiewicz (Zielona Góra)

III nagroda
Anna Czujkowska-Włodarska (Lublin)

NAGRODY SPECJALNE

Burmistrza Miasta Lęborka
Zbigniew Radosław Szymański (Gdynia)

Nagroda im. Józefa Majkowskiego
Katolickiego Stowarzyszenia Civitas Christiana w Gdańsku
Arkadiusz Stosur (Nowy Sącz)

Zarządu Głównego Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego
Karolina Serkowska (Kartuzy)

Oddziału Miejskiego Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego w Lęborku
Zbigniew Jankowski (Gdańsk)

Nagroda dla młodego twórcy lęborskiego
Iga Kardas (Lębork)

NAGRODA GRAND PRIX
MARSZAŁKA WOJEWÓDZTWA POMORSKIEGO

EDYTA WYSOCKA

* * * (1950-II)

*tamtym rzeczom i uczuciom
przywracać ich jedyność*

Maja Komorowska

jak dobrze że są dawne zdjęcia...
o! tutaj my wszyscy w starym domu po niemcach. i dziadek stoi.
stąd ma blisko do pracy w lesie.
to nasza kuchnia z zasłonką na sznurku.
kubelek tam widać z wodą do załatwiania się i łapkę na
duże myszy bo te małe dziadek od razu zdeptuje.
a to jest pani wichrowa.
ona straszy mamę że nasz mały brat ma angielską chorobę bo u niego
duża głowa i że trzeba mu dawać skorupki od jaj rozgniecione z cukrem.
one są smaczne
ale brat woli wyjadać sam cukier ze słoika.
zawsze wtedy gdy mama wychodzi z wiadrami po wodę.
długo jej nie ma bo aż na drugą stronę lasku musi.
o! właśnie widać studnię i spaloną drewnianą. i babcie od sikorów.
ona jest bardzo stara i żółta. siedzi na pniu i w ogóle się nie rusza.
jak umarła to ją od razu położyli na spalonych deskach z drewna.
dlatego później wszystkich straszyla.
a to pokój gdzie śpiamy i lampka z koziego pęcherza na prąd.
ale zawsze coś się w niej psuje i dziadek musi zakładać druciki.
raz od tego nawet upadł i przez chwilę nie żył.
mama powiedziała że z tego prądu tak mu się zrobiło.
tu nasze chłopaki pasą kozę. i jest grzęzawisko.
oni się zawsze zakładają o ten nowy scyzoryk od wujka.
na jeden dzień dla tego kto z błota wyniesie na nogach najwięcej uczepionych

pijawek.

to nasz sad i ten długi kij co na nim wisiała wrona.

dziadek ją powiesił za nogę żeby odstraszała od wiśni.

fruwiała śmiesznie i dzieci się bardzo cieszyły.

ale w niedzielę jak wszyscy z kościoła to już tylko wisiała.

brat zrobił dla niej grób na poniemieckim cmentarzu i posadził rumianki.

a to jest ławka w krzakach co tam kiedyś nasz duży brat palił papierosa

ukradzionego od dziadka.

bał się później i dał mi dwadzieścia groszy na bułkę od pana piekarza

pyrzyńskiego żebym tylko nic nikomu nie mówiła.

ale ja i tak poskarżyłam na niego dziadkowi.

a do tych zdjęć po tacie co w zaklejonej kopercie z czarną ramką

mama nie pozwala nikomu zaglądać.

KRAJOBRAZY

teraz nie tak. odległość zdarzeń - *tempus edax rereum*.

a tam barwne obrazy czarnobiałych fotografii. i śmiech pełen nas.

uchylają się drzwi po stopy ręce i usta. wypełniają wschodami oddechów

i drobiazgami.

bo on szuka nietoperzy zwróconych ku światłu i ja czegoś tam bez sensu.

i siorbię z jego ręki rozgniecione żurawiny. zaglądam w niebo jak w słońce

jaskrów

którymi obrzuca mnie niezgrabnie.

niewprawne palce skraplają się zapachem wodorostów - małymi czułościami.

obgryzam skórki z warg. mam pajęczyny we włosach i błoto wszędzie.

natura wyzwolona z sieci zaskakuje nieprzewidywalnością. święte ramki

aniołów brudnieją -

to ten chłopak co procą z pestek... kurz za zasłoną... kurz na strychu...

powiedziałeś kiedyś że życie to dzieciństwo a kwiaty najpiękniejsze

te drobne i delikatne.

jakby niechcące afrodyzjaki niewinności bo mają gwiazdki niczym święta

najświętsze.

i ból wtedy ciepły bo ich łyzy tylko dobrymi łzami.

bycie w nich miękkie jak w miodzie małych lęków.

o taaak!

TEŚCIU MÓJ KRESOWY

odszedł ale nie znika. wisi na głównej ścianie.
a pod strychem za starą plandeką wciąż heblowanie i kroki.

wygnaniec – przesiedleńiec. tu. na zachodnie rubieże.
chudzieńki *bandała* z guberni co w zimę i w lato
barchanowe kalesony z trokami i ani kropli potu.

synowka – ty mnie bulonczyktłusty zgotuj jak matka –
i płakał wtedy bo mu nieboszczka *ańdźka* się przedstawiała
jak grube *plajstry sala* na fajerkach prażyła.

niepisaty i nieczytaty – *batiuszka franki* co krzyżykami ledwo
a politykę rozumiał jak trzeba.
wolnej europy z radia lampowego słuchał.
swoje przeżył i swoje wiedział.

ciesielki nauczony że w rękach jak u nikogo. – *bo tamżesz*
u prawdziwych panów ja służył przedwojennych i poważali.
a i sam władyka – co bolszewicki nastał – rozwitywał się –
rękę podawał – a jak!

pewnie stąd u starego *franki* tuż przed śmiercią wziął się pomysł na pana:
obraz ślubny kazał artyście-domokrażcy odmalować .
z tych fotografii *co do passportów ewakuacyjnych z żoną zdjęte byli.*
i stoi nasz *batiuszka* na portrecie wyprostowany (bo pan żesz on)
w wysokim kołnierzyku z muchą czarną i z *ańdźką* swoją pod *manszet.*
ańdźka (bo też pani) w lisiej etoli na *grudzi bieluskiej i miętkiej*
jak u łabędzicy znad samej prypeci.

ten obraz wciąż mi śpiewa.

MARZEC. SPACER. ROZWAŻANIA.

za wcześniej. skarpa jeszcze nie w zawilcach. matowość i wyczekiwanie.
ziemia jakby się wstydzi pojesiennych słabości.
zebrać co suche i do chińskiego wazonu. ogrzać w papierowe maki.
bazie próbują ku światłu. wytarmoszone jałowce szeleszczą.
od czasu do czasu zza chmur kosmyk słońca.
trzmiel. chyba w pomyłce. odfruva ciężko w białobrudne brzozy.
i zagubiona muszka na kamyku niemrawo. i biedronka żółtawa w kropki.
i mrówka osobna na dróźnie... szkoda. tu się depcze.
ptaki już śpiewne. spojrzeć w górę a taka od nich przestrzeń.
ktoś świeżo jadł mandarynki i pił piwo. nie dopasował się.
czas odkształca. szaroburość. tylko iglaki zachowują ciemnozieleń.
teraz można w głąb spokojnie. długo z tej suchości nie wypełzną żmije.
znów promyki zwodzą. leciutko odsłaniają niebieskość.
słońce jest jak życie. wschodzi i zachodzi.
w tym odcieniu szpaler brzoź nabiera barw złota.
jeszcze trochę a będzie inspiracja. więcej natchnienia.
...trawy badyle łęty źdźbła... rzeczy są i zaraz ich nie ma...
teraz wszędzie cicho. póki co zeszłoroczna śmierć wietrzeje.
pod tym świerkiem jeszcze niedawno zajęcza rodzina i zabójcze kły
rozczochanego burka z leśniczówki.

o! coś wyłazi! grzybki o milimetrowych łebkach!
pewnie psie!

I NAGRODA W KATEGORII POEZJI
BURMISTRZA MIASTA LĘBORKA

MARIKA KALINOWSKA

ŚWIĘTE OBRAZKI.

W każdym ruchu, lecz najbardziej na skrawku dłoni
gdzie żyła przechodzi z nadgarstka na otwartą przestrzeń
jest.

Kiedy bije o mnie przestrzeń, ściany pokoju zapadają się
jakby pudełko po zapalkach puste bardziej niż zwykle;
choć nie wiem czym odznacza się zwykłość.

Bardziej bezruch czy ciche drganie ciała?
Sprawdzam jak oddycham czy oddycham
zdmuchując włosy z twarzy, której nie posiadam

bo już mówię o sobie jako o osobie martwej
i w wyblakłym błękitcie tych moich niemych ścian
szukam haczyka, wystającej gałęzi dębu,
zaczepienia o wieczność;

lecz wieczności nie ma.

W snach umieram conocnie i nie budzę się
jakby poranek mógłby być bardziej mdły; jakby mógł być-
widzę to obojętnie, przysiadają na mnie liście z zielonych drzew
i powietrze powalone ciężkim bezsensem przygniata głowę;

ale bezsensu nie ma.

Tak, czuję jeszcze ból i czuję się nieskończenie przeszła,
mówię o sobie w formie przeszłej, patrz jaka byłaś
przypomnij sobie jak od siebie odchodziłaś
jak odeszłaś zerwanym węzłem ostatniej wiosny

jak się pożegnałaś ze światem.

Lecz tutaj świata nie ma, cierpną dłonie, palę swoje ciało;
ale tylko papierosem.

W każdym spojrzeniu lecz najbardziej
kiedy próbuję skupić się i przemyśleć;
i poszukać wyjścia; choć wszystko tak obrzydliwie otwarte
a ja nie mogę, a ja nie umiem, a ja się boję;

jest śmierć,
która potrafi chwycić szyję i potrafi śmiać się do mnie;
i widzę ją czule, jakbym mogła zwinąć się
w kokon w pachnącej sztywnej pościeli
i zasnąć.

To co się stało ze mną i z moją głową tej wiosny
to jakaś zła bajka, Maryi jest chyba smutno teraz;
ale to ja płaczę rozkładając wokół martwego ciała
święte obrazki,

rozkładając wszędzie lęk; kiedy łykam pastylki,
to trochę przypomina egzorcyzmy

ja, konwulsje, niedobre całe ciało, szerniałe myśli;
ja, moje demony, matka boska, moja matka
przełęczę nerwów, hormony, wydzieliny z mózgu

a kszy, a kszy, szu bu- idź już sobie;

w każdym miejscu, lecz najbardziej na skrawku dłoni
gdzie żyła przechodzi z nadgarstka na otwartą przestrzeń
święty obrazek.

STARUSZEK KTÓRY NIE KOCHA.

jesteś nieobecny a przecież mam twoją rycinę na sercu
wydłubaną cyrklem w środek popielcową bo z bólu przychodzisz
więc do bólu tęsknisz,

czerwona czechenia rozerwanego mięsa choć kłamali
świat zapomniał, a ja widzę mam w oku febrę
strach wychodzi moczem nadzieja ze skórka

wczorajszego chleba, na przeciwległej ławce
karmisz gołębie jestem pewna nie żałujesz nie uciekasz
się do parkinsona alzheimera kompleksu edypa karmicznej
lewatywy, babcia nie wie od kiedy jesteś obojętny

ale spokój z jakim to objawiasz pozbawia pretensji,
charczącym oddechem przypominasz starego nazistę
który nie rozumie, piszą o nich w dodatkach

do temperatur i procesji, o tobie nie piszą.
podobno kiedy pijesz (a lubisz) muchy w odległych afrykach
padają przygniecione samotnością, nie potępiasz ale odsyłasz

niżej, jakbyś nie mógł być winny. czasem nacięcia twojej twarzy
śmierdzą, to kiedy noce są parne a kosmos całkiem głuchy
nie wiem czy to gnicie czy tradycja

żeby się wypełniła musisz z martwych wstać.

PROWINCJA.

szorujemy podłogi niemodne zakłęcia gubią ręce
nie bołą kolana tylko wspomnienia przeszłych dożynek
zabaw pod pustym niebem, środki czystości gryzą oczy
sterylność zabiera wdzięk, właściwie to nawet nie żal
złamanych paznokci, tylko żal za grzech

porządku. ułożone koszule zmuszają do wstydu.
książki bez tłustych plam, koce bez zapachu traw
albo naczynie pozamykane w szafkach, dokręcony
do reszty kran. widziałam w Ikei podobne zasłonki

dzbanek z obitym uchwytem, przecena.
przeceniłam twarze sąsiadek, spokój był umowny
milczenie obrażą, nasiona w doniczkach świeckim
obrazkiem niedzieli bez echa, ściany zatrzymują
krzyki, przechodzi tylko zapach kotleta- przebija się

jak pasja. życie wcale nie mija tylko tyka-
gruźlica czy bomba co wyprosi zbawienie? nowela
jest krótka, taka jej uroda. histerią dotykam paneli
jakby rebelia mogła wyjść poza oprawę, podgłoś mnie

proszę, horyzont tonie w blokach.

POŻAR.

gorączka rośnie jak mech na tabliczkach z nazwami miast-
cierpliwie, zbiera ciepło i wrzos w kocach i chusteczkach.
ciało musi trzymać pożar, ciało jak mury obronne pilnuje
ognia odpalając papierosa od świeczki, we wnętrzu plac
poniemiecki bruk stopy i czekanie, zegar na wieży
oznajmia grypę.

jestem już, do fontanny prowadzą wszystkie ścieżki
ale żadna nie ma początku, bo kobiety w spoconych
fartuszkach ucinają pogaduszki i czasy, domestos to magia-
zdziera pamięć ze skórą.

na Solnym rota i kwiaty, czuje się obco, różami podcinam
gardła, niesmacznie, kiedy nie spóźnisz się gorączka minie.

II NAGRODA W KATEGORII POEZJI
PRZEWODNICZĄCEJ RADY MIEJSKIEJ
W LĘBORKU

ELA GALOCH

ROZMOWY Z DAISY* I

Na parkingu znudzony kierowca autokaru, pamiętający
ciekawsze czasy, sący odurzający dym zdezelowanego diesla.
Obok niemłoda uczestniczka wycieczki
- w przejaskrawionym makijażu i podkasanej sukni -
tupie do przedwojennego pulsu,
jakby rozmowy wokół też były podniszczone,
pełne trzeszczących płyt.
Przeszłość potęguje się w deszczu. Doznanie
jak formuła „filmu w filmie” niczym u Almodora.
Więc poszukajcie moich drухen, dam dworu i cesarskich córek.
Może w nich jeszcze istnieją nieśmiertelni chłopcy z batalionów?
Zawieszona w północnym wietrze Fürstenstein – za dotyk
oddadzą każdą cząstkę Arkadii: Kobiety
o nabrzmiałych ze znudzenia myślach, co po cichu
rozchylają przejrzałe ciała, gryząc diariusze jak kochanków.
Spójrzmy poza siebie: Weszliście
w terakotowe światło mgły, tak rozległe,
że tylko iść niczym śpiew
w jasnyniebieskim powietrzu spojrzienia.

Ale wciąż jeszcze umiem żartować:

- *Dlaczego ukrywasz ramiona za kawałkiem materiału?*

Ależ hrabino, barokowe przeciągi wywołują dreszcze!

Nie mogę się odkryć jak Królowa Wiktoria na wczesnych obrazach.

Tworzy się śmieszna linia życia. Jest do kupienia tylko wtedy, gdy włosy zeszywnieją ze zdziwienia.

- Mein Got! – Może wykrzyknie jakiś dżentelmen?

Resztę słów powinna uwięzić krtań,

mimo że w pamięci będą huczały niczym wodospad.

Nadejdzie czas, gdy Frau X i Frau Y przyjdą na dwór,

bo zamkowe wejście, to nie jakieś święte drzwi.

Udami będą obejmować parkowe drzewa.

Nawet chaos ma w sobie jakiś porządek.

Pułapki pomieszczą wiele języków.

Cierpliwości, już uczę się pytać po polsku!

ROZMOWY Z DAISY II

Nie wędruje się po salach, które zbyt szybko wlewają się do głowy, oblepiają. Nie krzyczy się na ludzi, którzy usiłują snuć nawet przewrotne opowieści. Tylko przeciąga się ręką po ścianie, jakby wracało się z kolejnej przejażdżki po Freiburgu. Chropowatość starego tynku pod mokrymi palcami zwiedzających, pozwala słyszeć. Ale czasem trzeba patrzeć ponad zmysłami: Zapachy jesieni, parku czy dzieci ze szkolnych wycieczek otwierają renesansowe okna. Chociaż po tylu latach, to coraz bardziej sama „mowa”, jakby tylko w przebłyску stawały się zwiewne sytuacje z całością balowych szczegółów.

Nie zawsze pamięć przenosi z przejrzystością
równą obecności. Czasem wystarczy tylko wyobraźnia,
by nazwać przekorne rozmowy z cesarzem,
dyskretny gwar lokajów czy salonowe zdrady.
Potem wiatr w szalach – i w samotności
smak najdroższego wina. To dużo więcej niż wspomnienia.
To głębsza przestrzeń niczym po kryjomu
– przed armią służących – oranżada ze śląską bułką:
*Przekraczam próg tajemniczej rzeki
zawinięta w skrawek czasu. Ale rozplywa się,
aż pozostają tylko w drżącej fali.*

Granica między byciem księżną a kobietą
fascynuje tylko obcych. Hans o tym już nie pamięta.
Może wreszcie powiem mu: *Dotknij mnie.*
To będzie początek zupełnie innego świata.
Na razie poudawajmy, że to tylko wypadek. Rozpłatywanie
supłów w wojskowych mózgach, bo ciała
od dawna są gotowe do spotkania.
To rośnie w nas, choć jeszcze mylimy dzieci i pokoje.
Pisanie do jeńców nie powinno być najtrudniejszą miłością.
Znow idą święta, więc wypijmy za namiętność.
W zamku wciąż słyhać mój śpiew.

ROZMOWY Z DAISY III

Nudzą mnie te wszystkie kobiety
zasiedziałe pod gobelinami pruskich salonów.
Potrafią tanecznie już tylko iść pod wiatr,
by w prozie dawać wątle życie. Pozują do treflowych dam,
jakby znów miała nadciągnąć wojna.
Przymierzają żałobne krynoliny, oszczędzają na radości.

Rozbijmy tę twardą ścianę matron. Rzućmy się
w wędrówki skrajem etykiet. Łany włosów
będą powiewać z tarasów jak żółte nici,
a stopy uwolnione z miękkich kobierców
mogłyby wymykać się poza dworski nieboskłon,
dopóki znów nie zbudzi nas szarpnięcie
zankowego krajobrazu - z błyskawicami karoc
jak wielkimi, czarnymi ćmami.
- Posiadanie nigdy nie będzie miłością.
Hans, uwięzieni w przedmiotach
naprawdę nie dosięgniemy siebie. Sami dla siebie
staliśmy się zakładnikami.
Móc - poza barokowym ogniem gabinetów -
dotknąć się do końca. Zawładnąć po ostateczność,
kielich po kielichu, po których już nic nie musi być innego.

Uczucie zagubienia i odnalezienia, to tylko myśli.
Uwertura na cztery dłonie
może być naszym pierwszym spotkaniem po latach.
Potem chemia słów. Po połączeniu otworzy się magia.
I nie dopowiadać, nie wyciszać niczego.
Dopiero naprawdę przemówią oczy.
Po wszystkim ta wielobarwna cisza. Czy to już Wenecja?
Chociaż jeszcze pozostaje życie poza naskórkiem zdarzeń,
gdzie hulają przeciągi, zacierają się cmentarze
i upadają kopalniane szyby.

ROZMOWY Z DAISY IV

Zjeżdżają się goście, kobiety gładzą jedwabne talie.
Ale już nie rozumiem słów, chociaż zamek
wciąż jest przeludniony legendami - i nie można zamknąć przestrzeni
współczesną kreską ulicy. Ogromne okna
Sali Maksymiliana połykają krzyk zwiedzających.
Przed kolejnym bale - czarna orchidea
ametystowym blichtrzem - nie pozwala
kominkowym maskaronom podziurawić jesienną mgłę.
Czuwają tylko poszukiwacze żelaza.
Mury mają twarze zamyślane i bolesne.

Szumia niepokojem, jakby to wszystko,
wraz ze mną - utkało się ze snów,
mimo że wciąż jeszcze okryta sobolowym futrem
spaceruję z Lexelem. Nie wiadomo, kiedy
stałam się nieruchoma i pokorna jak śnieg.
Patrzą mi w twarz i dziwią się, skąd tu - ta surrealistyczna pieta,
jakby to nie było już moje miejsce. Musi minąć jeszcze sto lat,
żeby nienawiść do angielskiej żony rozpuściła się.
Bo muszę im pozwolić wejść w lustro śmierci
i nie zamknąć intuicji aż dojrzeją do *tańca na wulkanie*.

Teraz to jeszcze obcy dom, nieufny. Ale nauczę go
głaskać moje usta jak czas.
Hans, powinienes być tu ze mną. Jestem ubrana tylko w perły.
Kaźdej nocy widzę twoje wałęsające się odbicie.
To czekanie z kluczami do duszy rozprzestrzenia nas,
a ty nawet nie orientujesz się jak wiele znaczymy
dla dzisiejszego świata. Może znów byłeś w miejscu,
gdzie oko nie widzi. Trudno napełnić
nową treścią naczynie pełne gorzycy.

* Daisy - Księżna Maria Teresa Oliwia Hochberg von Pless (ur. 28 czerwca 1873, zm. 29 czerwca 1943),
arystokratka angielska związana z zamkiem w Pszczynie i zamkiem Książ.

III NAGRODA
W KATEGORII POEZJI

KATARZYNA ZAJĄC

PRZECZUCIE

Mrużę oczy. Prześwity wśród drzew wyglądają
jak cętki na sierści zwierząt wędrujących do wodopoju.
Przez chwilę myślę, że samochód jest wielkim kotem,
który kołysze nas w brzuchu i skrada się ich śladem.
Dotykam twojej dłoni. Jeszcze mocniej

zamknięte oczy. Obrazy rozpływają się niby półpłynny
malachit, kamyk ukryty pod bluzką /tatarak tłumi
plusk wioseł, jałowcowy dym przenika śpiwory wilgotne
po burzy, wciąż duszno/. Trzeba wracać,

zwalony pień zagradza szlak. Już jesień z ciężkimi
chmurami i zbutwiałymi liśćmi, nie sposób uchwycić lata.
Na drodze do miasta leży ciało łani. Śnię aż do
listopada, że ją przejechaliśmy. Widzę jak koziołkuje,
odbija się od maski. Śmiejesz się,

mimo to za każdym razem, gdy wiatr uderza w szyby,
słyszę płacz jej młodych, stukot racic.

KWITNĄCE KASZTANY: CZAS DORASTANIA

Różowawy zarys nieba. Chwila, gdy masz wrażenie,
że matka pochyla się, a materiał faluje niby ptasie skrzydła.
To tylko dźwięk tramwajów i szpitalnego wiatraczka.

Na jej ustach zastygłe grudki śliny, włosy sklejone potem -
musisz stąd wyjść, wdeptać całonocny strach w ulice miasta,
rozmienić go na słońcu. Światło lubi skórę dziewczyny,
miodową jak goldeny, które kupuje, paplając o witaminach.

Pijecie latte. Pączki mdlą cię, podobnie zapach
owoców niesionych w siatce. Nie zapomniałeś słodkiej
woni niedomytego ciała i fusowatych wymiocin?

*

Zaduch. Na stole puste butelki, ojca nigdzie nie ma.
Kawałki wołowiny i kielki soi tańczą ze sobą w rondlu,
loki dziewczyny poruszają się w rytmie muzyki,
gdy podnosisz słuchawkę. Jakbyś wcześniej wiedział,
że zadzwonią ze szpitala. Może to pszczoła brzęczy?

MARCOWE NIEPOGODY

Po tej ścianie spacerują pająki. Czasem głaszczą
spękane pory. Zaglądają pod bladą zieleń, jakby szukały
tam zawiązka oliwnego listka.

Pamiętam, jak kiedyś na chybotliwych
nózkach przekraczaliśmy rzekę. Wylała podczas wiosennych
roztopów. Leszczyna smagała nam łydki. Wilga
przypatrywała się splątany krokom.

Gdzie jesteś, gdzie jesteś? Dzięciół
wystukiwał pospiesznie słowa. *Tutaj, tutaj.* Chmurniało niebo.
Dziadek popychał rower, lekko utykał na jedną nogę.

Chłodne usta pragnęły znacznie więcej.
To tylko marzec i przebiśniegi, zapowiadali, że dobrej pogody
nie będzie, mówił do siebie, mówił do nas.
Cicho, cicho.

ULOTKI. GRUDZIEŃ OSIEMDZIESIĄT DWA

Mógłby to być czas pieczenia lukrowanych pierników,
ozdabiania świerkowych gałązek. Babcia wspomina Żydówkę,
której okaleczono pierś, karuzelę i płonące obok mury getta.
Nocami buty stukają o bruk, cienie toczą się z łoskotem.

Często uciekam do dawnej stróżówki Anioła. Bywał tutaj,
nim powiesił się tej jesieni. Zbutwiałe drzwi skrzypią,
gdy ze środka wychodzi kot. Stary Anioł lubił zwierzęta.

Obserwujemy oświetlone okna. Mama wyjmuje gromnicę.
Wiem, że będzie długo szeptać, żeby wpuścili ją do środka,
a później gładzić koszule ojca i zawiniątko z jedzeniem.

Zaczyna padać pierwszy w tym roku śnieg - płatki tak duże,
jakby w niebie potargano wielką księgę. Kryję łzy w miękkiej
sierści, mój oddech przy kocim uchu. Tylko jemu opowiem,
o kajdankach i bibule, w którą słowa wsiąknęły jak krople rdzy.

I NAGRODA W KATEGORII PROZY STAROSTY POWIATU LĘBORSKIEGO

PAULINA DANECKA

Z RAPORTU SZERYFA

...Lubię moją pracę. Odpowiadam za ten teren i to mi odpowiada - bardzo. Kiedyś władałem podniebną przestrzenią, ale powiedziałem sobie: dość. Starczy ci tego, zejdź na ziemię, kolego. „Zlatuj stąd!” - gruchały na początku przyzwyczajone do swego demokratycznego bezprawia nieuprzejme szaraki. „My cię nie wybieraliśmy...” - gruchały pod dziobem. „W dziób?” - pytam grzecznie... Władzy się nie wybiera, niebieskie wy moje ptaszki. Przed władzą się nie ucieknie - nawet tutaj...

Na framudze nie siadać! Nieposłuszne, sio...Nieposłuszne?! Framuga najeżyła się błyszczącym rządkiem. „Cip, cip... - nie wołaj gołąbka, synku.” *Nie tak się woła, myślę sobie.* „Nie dotykaj, on może być chory... Mamusiu, po co te gwoździe, czy tam będzie daszek?...” (*Nie! na daszku sra się najwygodniej - co to, to nie!*). „Sio, gołąbku, sio, bo się pokaleczysz...” „Proszę stąd pójść, bo zawołam ochronę”. „Nie patrz na niego, bo do nas przyjdzie, a potem nie można się od nich opędzić...”

„Spirytne są! już się w ogóle człowieka nie boją! - niedługo wejdą mi na głowę. Ja tu, Pani, codziennie. Najpierw się człowiek lituje, daje okruchy, bo żal się robi, że głodne, ale Pani popatrzy jakie one tłuste - żebraki! Nażre się taki a potem grucha - ja już tu wysiedzieć nie mogę, i jeszcze ta się tu przypałała - nie rozumie, kiedy mówię jak do człowieka, że zawołam ochronę. Wołała już Pani? Pewnie, ale one zawsze wracają, jak tamte - na murku... Czemu je Pani karmi? I to jeszcze drożdżówką! przyjdzie tu taka na chwilę i karmi, a potem idzie, a jatu z tym zostają. Weźmie go Pani ze sobą do domu. Sio!...”

... Widziałem ją tamtego dnia i aż do tego jej tutaj nie było...

Odjechał..., i dokąd mam teraz pójść...? Może mi pani powie... (dzieć)... „Informacji nie udzielamy!”, „Niech pani nie blokuje kolejki, to nie informacja na Boga!” Na Boga zaklinałam jeszcze wczoraj, obiecywałam, że to się nie powtórzy. „Ale ty nie wiesz, o co tobie chodzi, dziewczyno! Ty jesteś jak ten gołąb – ciągle gdzieś lecisz, ty nie szukasz domu...” Nie szukam klatki. Klucze tak cicho zostawiają się na stole, tak lekko zamyka się drzwi od tamtej strony. Dworzec Wschodni zbyt blisko, co chwilę ktoś odjeżdża, nie tym, to następnym. Nie ten, to następny. Odjechał... Poczekam godzinę, może tu po mnie przyjdiesz, znowu zabierzesz mnie do domu... „Do domu! – ile razy mam powtarzać, żeby tu pani nie przychodziła?! Zaraz zawołam ochronę... Niech Pani nie woła, nie ma już czego ochraniać. My obie jesteśmy bezdomne, Pani Jadziu – ja bardziej od tej „pani” – w Pani zwrocie niegrzecznościowym zawsze wrzeszczanej z małej litery. Bezdomne bardziej niż te nie-Pańskie gołębie. „Pociąg do Łowicza Głównego wjedzie na tor 21 przy peronie 6”. Idę, już idę, choć nie mam dokąd.

...za to tego chłopaka widzę tutaj po raz pierwszy... – to nic trudnego pamiętać te wszystkie fakty. Wszystko zostaje zapisane, wstukane w blaszkę i zaksięgowane...

Hall Główny – cholera!, znowu nie od tej strony. Po co na jednym dworcu tyle wejść? (i wyjść...). Wyszła... Kiedy wchodziłem tu po raz pierwszy...

...czyżbym o tym nie pamiętał?!...

... rzuciła gołębom kruszoną drożdżówkę – ekscentryczny luksus w brzuchu tego pomnika PRLu. „Dziwny ten dworzec – powiedziała na powitanie... Zanim wybudowali Centralny, Dworzec Wschodni był najnowocześniejszą i najbardziej reprezentacyjną budowlą tego typu w Warszawie – powtórzyłem notatkę znalezioną na Wikipedii kilka godzin wcześniej – jeśli na początku zapadnie niezręczna cisza, opowiem jej o dworcu – postanowiłem wtedy. Zawsze tu stał? Nie... – kiedyś to był Terespolski, potem Brzeski, chyba... i znajdował się bliżej Targowej, zresztą... Cieszę się, że tu jestem...” – przerwała tę niezbyt ciekawą lekcję historii. Miała ze sobą mały plecak. Nigdy później nie wracaliśmy do tematu dworca – aż do dziś...

Tamtego dnia na krótko uwierzyła, że gdzieś nieopodal stoi jej dom. „To dokąd? Na północ.” Szliśmy tunelem od jej podmiejskości w stronę naszego nowego, wspaniałego świata (*Huxley zamiast Wikipedii – to mogło was uratować, ale teraz jest już za późno...*). Na Kijowskiej łapiemy siódemkę.

„Peronów siedem, teraz siódemka – no, no, zapowiada się szczęśliwie”. Pętla przy Kawęczynskiej, wysiadamy. „To koniec świata!” – śmieje się ona, „ale ładnie tu, dużo gołębi...”

Przylatywały do niej każdego ranka, karmiła je drożdżówką na balkonie (*mógłbyś przysiąc że, widziałeś wczoraj skrzydła jej, jak je chowała pod sukienką...*). Właściwie nie wiem, po co nam to było – to był mój pomysł (*...jesteś pewien że, wczoraj widziałeś skrzydeł cień, dlatego klatkę zbudowałeś...*), żeby założyć te osłonki („...kupi pan se, nie będą siadać i srać, znów mówili w telewizorze o jakiejś nowej grypie, nie wiadomo co one przynoszą, a ta Panienska taka nieostrożna – wyciąga rękę...”). „Najpierw one, a potem ja... dla mnie też kupiłeś jakieś gwoździe?!” Potem co raz ciszej – klucze na stół, kroki na klatce. Sfrunęła bezszelestnie (*to nie jest ptak, ona to nie ptak, czy nie widzisz?*). Mały plecak czekał spakowany od dawna. Więc nie o gołębie tutaj chodziło... Cicho. Na balkonie cicho, tylko jedno gołębie ciało uległo zepsuciu na kolczastej osłonce – tej, dzięki której mieliśmy być bezpieczni. „Czy TEGO chciałeś?” jej pytanie dźwięczy mi w uszach kiedy jadę siódmką. „Pociąg do Łowicza Głównego odjeżdża z toru 21 przy peronie 6”. Już nie biegnę. To właśnie chciałem usłyszeć. Odjechała.

...zresztą to nie istotne...

Nie stój bezczynnie przy kiosku, nie udawaj że cię interesuje ta wypłowiała wystawka, teatrzyk pozaczasowych zegarków, niesłownych gazet, zimnych fajek i kajdanek z potarganym futerkiem. Nie stój bezreakcyjnie, „Proszę Pana... – bardzo Pana przepraszam, jestem bardzo głodna, zbieram na jedzenie...” Była szybsza. Mój ruch. Teraz dobroć jest najbardziej ekonomicznym rozwiązaniem – oni działają jak automat – wrzucisz dwa złote i się odczepią, nie będą dłużej śmierdzieć obok ciebie. Działam jak automat – nie pytam – daję – bierze... Ty byś ją pewnie próbowała nakarmić drożdżówką, kiedy oni wołają drożdże. „Dziękuję, Panu, dziękuję...” Nie ma za co – myślę sobie. Faktycznie nie masz mi za co dziękować.

„Poproszę herbatę... Z cytryną?”. „Pani Jadziu, jak się imieniny udały?” „Dwa pięćdziesiąt”. Siadam. Pani Jadzia rozmawia. Od wschodu nadciąga kolejne zagrożenie. „Proszę Pana, jestem bardzo...” (natrętny!) – więc udaję, że cię nie słyszę – to teren Pani Jadzi i to jej obowiązek, stać na straży twojej tu nieobecności. Pomogłem już dziś i zaszkodziłem – automatycznie. „Pójdzie Pan stąd, bo wezwę ochronę...” (i będziemy bezpieczni! – czy o to nam chodziło?).

Zanim z tunelu wyłoniła się kolejna bezdomna, zdałem sobie sprawę, że jestem śmieszny: Po co ja tutaj siedzę? Przecież ja mam dom... Herbata 2,50 w plastikowym kubku – niedopita. Zostawiona. Może ktoś jeszcze skorzysta?

Wychodzę z dworca, ostatni rzut oka na tunel. Przedemną nową, wspinały świat. Mówiłaś, że świat to dom dziecka. Nikt z nas nie jest bezdomny – jesteśmy po prostu rozrzućeni po świecie. Czasami zdarza nam się nie dopić herbaty na dworcu, lub spóźnić na ostatni z pociągów relacji ja-ty. I nic więcej.

Nazwałem się Szeryf. Mniej osowiały niż cała reszta, bronię czystości naszego gołębiego gatunku. Obserwuję. Znam swoje granice. Ludzie nazywają je Dworcem Wschodnim, ale co oni tam wiedzą? Dla nich życie jest poczekalnią, w przeciagu moich granic gubią swoje dni. Na wschodzie bez zmian.

II NAGRODA W KATEGORII PROZY PRZEWODNICZĄCEGO RADY POWIATU LĘBORSKIEGO

CZESŁAW MARKIEWICZ

PRZEKLEŃSTWO OBIATY

Pasiemy krowy. Nuna, Kazek, Zośka. Wszyscy Bajnowie – moje kuzynostwo. Oraz Tadek od wdowy Klary, jego siostry Tereska i Wiesia – też Bajnowie. No i ja – nie wiadomo, od kogo i skąd.

Bajnowie od Klary nie są wprost spokrewnieni z moimi kuzynkami i kuzynem, chociaż też Bajnami. To znaczy, że nikt nie potrafi ustalić związku niezjącego ojca Wiesi, Tereski i Tacka, z żyjącym Józefem Bajno – ojcem Nuny, Kazka i Zośki i jednocześnie mężem siostry mojego ojca, to jest ciotki Bronki. Ale matka Tacka, Wiesi i Tereski jest siostrą żony Ignacego – brata mojego ojca. Mamy więc z dziećmi od Klary tą samą ciotkę Eugenię – żonę wujka Ignacego. Wujek Ignacy jest też wujkiem Tacka, Wiesi i Tereski. Dlatego chętnie wspólnie pasiemy krowy. Dwie Bajnów od Klary i dwie Bajnów od Bronki. Razem cztery. Dlatego od kobiet, bo bydło to babska sprawa. Ignacy i Józef tylko biją obuchem w łeb przerośnięte byczki. Na tym kończy się ich robota przy cielęcinie.

Kazek jest jak zwykle głodny. Najbardziej. – Chyba ma tasiemca. Mówi ze znajomością rzeczy Wiesia. Wiesia jest prymuską i wie, co mówi. O odżywianiu też sporo Wiesia wie. Słabo jednak ta wiedza przenosi się na rzeczywistość, bo źle się jada w Zimnej Wodzie. Kazek, na przykład, żre, co się da. Próbuje nawet przysposobić czarną jagodę. Ale okazuje się, że nie może to być czarna jagoda, bo Kazek przeżył. A nawet Wiesia nie wie, co to za owoce, zupełnie identyczne jak czarna jagoda.

Różne rzeczy jada się przy monotonnym pasieniu krów. Jedzenie jest rytuałem. Zawsze jakąś okazją. Nigdy jednak, raczej zawsze, jada się coś z natury. Więc nigdy z gospodarstwa.

I teraz jest czas szczególnie. Nikt o tym akurat nie wie, bo nie może wiedzieć, że przeszłego wieczora mała Tereska staje się nagle kobietą. Nawet matce, może właśnie tym bardziej matce, o tym słowem nie wspomina. Najbardziej to chce zapytać Wiesię, ale jakoś się boi. Zwija tylko podwójnie drugą parę baweł-

nianych majtek i wsuwa pakuneczek między uda.

Niby, że naprawdę nikt nie wie, ale Kazek czuje, że coś w naturze i otoczeniu przybyło. Jakiś naturalny potencjał, którego nie widać, ale zawisa w intuicji, jak mgła w powietrzu. Gdy wszyscy coś tam byle jakiego gadają, bez wiedzy o tym, co się nie stało, a jest, Kazek dziwnie milczy i się dotkliwie Teresce przygląda. Niby, że dziecko, nie dziecko – i że nic nie wiadomo. Tak, czy siak, Kazek z tego przecucia ucztę każe, nie coś z zielska, ale żywego, z zabicia – do zjedzenia. Głośno nakazuje. Tak to mówi, że nawet Wiesia nie ma zamiaru żadnego sprzeciwu zgłosić. Tylko, co i jak na ucztę przysposobić, kiedy tylko dzikie kuny, broń Boże przy domu kamionki, po lesie bajnowym biegają, a nikt jeszcze nie odważył się żadnego polowania skutecznić? A i choć dzieciaki, wiedzą, że złamanie niewypowiedzianej reguły, co nie wolno, albo nie należy z gospodarstwa przy pasionym bydle jadać – może coś niedobrego przywieść na nich, na czyjąś sadybę, a nawet na całą Zimną Wodę i świat nawet cały.

Upiec ziemniaków w ogniu – mało. Tyle już zagonów zmierzwili, swoich, nie swoich, tyle bulw zwęglili, że na cały, wielki kopiec by tego wystarczyło. I jako zbyt pospolite Kazkowi się wydaje, żeby kartofle do żaru wrzucać. Ale ogień się nadaje. – Ogień być musi. Rozgrzewa się w myślach Kazek. Aż twarz mu gorzeje, co nie umyka uwadze Wiesi. – Będzie z gniazd jaja ptakom wybierać. Mówi, jakby grubszym głosem. Ciszej zrywa, bo nagle przestają szczebiotać o nic nie ważnym.

Wszyscy oni teraz czują osobliwość poważną, że trzeba wyraźnie jakąś jedną z reguł złamać, albo choćby sprowokować. Że przychodzi czas, ten istotny najbardziej, na własne ich sprzeniewierzenie. Kazek największą odczuwa ochotę. Nie on jednak wspina się na niedaleką, przy pastwisku leszczynę, nie za orzechami tym razem. Tadek, bez wiedzy żadnej, a z przecucia bardziej, maca jakieś gniazdo, może być przecież przepiórcze, ale jest puste, chociaż nad koroną kołuje mały, czarny punkcik. Rozlążą się pozostali po najbliższej okolicy, wyznaczają Tadekowi coraz nowsze drzewa i gniazda do znacania. Ani Wiesia, ani tym bardziej najważniejsza teraz Teresa, nie znają jakiegokolwiek prawdy naturalnej o zakładaniu gniazd i składaniu jaj, tam gdzie trzeba. Bo zupełnie coś innego znaczy jajo zdeptać przypadkiem, niż w pełni rozumu rozbić je o kamień i okrutnie, na surowo, rytualnie wyssać. Z takiego czegoś zawsze się coś urodzi. Chyba nawet o jakimś wykluciu na tę okoliczność gada się od dawna po Zimnej Wodzie. Na swoje nieszczęście dzieciaki Bajnów od Klary i Bajnów od Bronki, ani najbardziej ja – nie wiemy o innych gadaniach, co przekleństwo prorokują.

Wszystkie gniazda po kolei Tadek maca i maca. Wszędzie pusto. Nie wszędzie coś nad koronami lata. Gdziekolwiek tylko klucze ptaków, jakby tej dziwnej pustki, jazgotem chronią. Im więcej pustki w gniazdach, jaja bardziej niemożliwe, tym większa zawziętość w naszym drzew obszukiwaniu, tym gwałtowniej-

sze Tacka macanie. Jakby chciał łapę włożyć wprost we wszechgniazdo, co pod samym niebem przez najpierwszego ptaka uwite. Już nikt nic nie mówi, tylko szuka i szuka. Wiedzą więc wszyscy, że trzeba coś za wszelką cenę dla Tereski zrobić. Przyjąć nową kobietę, żeby stare mogły przeżyć swoje naturalne wyjałowienie. Ale tylko Kazek już wie, że należy zabić. Uśmiercić wyraźnie jakąś wielką płodność i ponownie ją do życia przywrócić. Najlepiej spożyć, zjeść, albo zeżreć – jak święty sakrament. Do tego niepotrzebne nam nasze pokrewieństwo – wątpliwe, czy nawet niemożliwe – bośmy spokrewnieni ludzką krwią i pewnie Kornelii grzechem – być może.

– Dość! Po takich podejrzeniach, Kazek spokój robi. Zapędzamy krowy bardziej ku wiklinowym opłotkom, najbliższej jak można pierwszych w Zimnej Wodzie szop i stodoł. Unikać trzeba chałup i nad wszystko ludzi. Kazek szykuje się bowiem z dotychczas głęboko skrywanym zamiarem. Najpierw schodzimy najgłębiej – do strumienia – po kamienie. Każde z nas wybiera po jednym. Tadek i ja po dużym, Wiesia średni, Nuna i Zośka – po małym. Kazek największy. Krowy, z pełnymi bokami, opite – jak nigdy – czystą wodą ze strumienia, wiążemy do orzecha przy gęstej, twardej trawie nad potokiem. Sami, już nie pastuchy, ale myśliwi, skradamy się po Miterówce, w górę.

W obejściu Bajnow, na samym szczycie Zimnej Wody – wyżej pod niebem tylko Podbiałowe Wzgórze i jeszcze wyżej Góra Świętego Marcina – dożywa, coraz leniwiej grzebiąc w ziemi, ostatnia na Sadybie nioska. Jedyna kura ocalała w potrzebie gospodarskiego zabijania. Jaj już prawie nie znosi. Zdarzy się rzadko przy jakiejś niedzieli. Żyje bez koguta. Dlaczego żyje? Dziwiłby się każdy, ale nikt w Zimnej Wodzie się nie dziwi, zapamiętując przekleństwa Zabawiny. Teraz mniej po okolicy o tym się gada, mniej słucha, mniej w czas przeszły zagłada.

Koło stodoły – nie ma. Przy szopie – pusto. Do obory, na grzędy – strach zagładać. Pod chałupą – nie wolno się pokazywać. Kury jak nie ma, tak nie ma.

Wypatrujemy jedynej, ostatniej na Sadybie kury, gdzie się tylko da. Jakby przeczuwa rychły kres, bo się skutecznie dekuje. Nieodzwownie przydałaby się konsultacja Marii. Babka ma instynktownie wpisana w podświadomość codzienną marszrutę całego inwentarza. Wie, kto, gdzie aktualnie się podziewa. Oczywiście, że kto – bo Mierzewiczowa uważa zwierzęta domowe za istoty czujące, uduchowione. Z wyjątkiem psa, czyli suk, zawsze przywiązanej łańcuchem przy budzie, opodal stodoły, między szopą a chałupą. – Pies, zły jest z boskiego rozporządzenia. Musi zły. Dobry – to zły, znaczy niedobry. Babka gubi się w rozpoznaniach. Zapytanie wprost o rozlokowanie kury – nie wchodzi w grę, z powodów obiektywnych.

Kazimierz myśli o psie. Czegoś się domyśla. Olśniony podejrzeniem, analizuje stosunki rodzeństwa z przydomową suką. Chyba tylko Hanka potrafi wewnętrznym spójkiem, unikaniem spoglądania w oczy – udobruchać znerwico-

wane zwierzę. Wyjaśnia więc Hance ideę. Ma rację. Wprowadza to w osłupienie nawet Wiesławę. Jedyna i ostatnia kura na Sadybie ukryła się w psiej budzie, solidarnie zaakceptowana przez nieobliczalną na co dzień sukę. Jakich argumentów użyła kura?

Hanka – z natury nieobecna, zimna, niekontaktowa – bez sprzeciwu podchodzi najbliżej jak może do psiej budy i rozpoczyna misję. Interwencja nie może być gwałtowna. Każdy nieodpowiedni gest, wprowadzenie kury w popłoch, spowodują gwałtowną reakcję psa, czyli suki. Może też, w jakiś nieodgadniony sposób, rozumie zagrożenie egzystencjalne kury. Porozumienie w tej kwestii może okazać się najniebezpieczniejsze. Ale to podejrzewa tylko Kazimierz. Hanka nie ma o niczym pojęcia. Działa, podobnie jak zwierzęta – kura i pies – odruchowo. Uruchamia tylko bezwarunkowy układ nerwów, jakby przykrywała się powieką do snu, albo śliniła gdy chleb za sucho grzęźnie w gębie. Na to liczy Kazek. Pomyślnie Hanki, choćby strzęp myśli najgłupszej, zniweczy cały plan pozyskania obiady, czy tam paschy, albo zwykłej wyżerki na imprezę. Hanka, tymczasem, nieoczekiwanie najpierw spuszcza psa z łańcucha, po czym blokuje piersiami okrągły wylot budy, zostawiając szparę na wsunięcie ręki. Wymacuje kurę, łapie ją za łeb, uniemożliwiając tym ludzkim chwytem wszczęcie jakiegokolwiek alarmu. Zupełnie nienaturalnie zachowuje się suka. Nie gna przed siebie, powodowana euforią z nagle odzyskanej wolności. Zresztą trudno mówić o odzyskaniu – skoro nigdy nie zaznaje się wolności. Nie rzuca się na ciemniejszy, co ją tak cudownie ucywilizowali, a nawet chyba wymyślili. Suka po prostu wskakuje na pochyły, blaszany dach budy. Dokładnie na taką odległość, na jaką pozwala długość łańcucha. Jakby ciągle spętana, jakby łańcuch był przyrodzoną częścią jej cielesnego ustroju, jakby wolność była czymś orwellicznie zewnętrznym, absurdalnie nierealnym rekwizytem jakiejś obcej rzeczywistości.

Kazimierz z niepokojem przygląda się Hance. Odkrywa, że niewiele wie o siostrze. Zna ją przeciwieństwo od urodzenia, wydaje się, że jest w stanie przewidzieć każdą jej reakcję. Nieskora do gwałtowności, unikająca emocji, flegmatyczna Nuna, trzyma teraz kurę za łeb, z czytelną wolą zabijania w oczach. Nie czeka na bieg zdarzeń. Wcześniej odkłada swój kamień, co zrozumiałe – musi uwolnić ręce, przeznaczone do pojmania żywej ofiary. Ale nie opodał, ukryci za węglem obory, czekamy my, z kamieniami w rękach, gotowi na wszystko – Wiesława, Teresa, Kazimierz, Zośka, Tadeusz i ja.

Hanka nie odchodzi od budy. Suka tkwi bez ruchu na krawędzi odachowania. Nikt z nas nie reaguje, gdy Hania ukreca łeb ostatniej na Sadybie niosce – tak jak to zwykł robić w nieliczne niedziele i zawsze w święta wujek Bajno. Kazimierz nie wie, co bardziej go rozczarowuje, niepokoi, przeraża, a co przynosi ulgę? Z jednej strony nie może ochłonać, ma ciągle, w zapamiętaniu, widok

bezkrwawego mordu. Z drugiej strony – czuje się dziwnie lekki, albo lżejszy, pozbawiony konieczności odrąbania, obcięcia, urwania łba kurze. Ktoś, jakoś musiał to przecież zrobić. I stało się.

Pierwszy odkłada wstydliwie kamień na ziemię. Po nim Tadeusz, Wiesława, Zośka, na końcu Teresa – z największymi oporami. Jeśli przeczuwa bliskość rytuału – to ona pierwsza powinna cisnąć kamień, skoro nie robi tego mistrz ceremonii. Wszyscy jednomyślnie milczą. – Nie ma odwrotu. Mówi Kazimierz. Hanka bez konspiracji, ostentacyjnie wymachując upolowaną kurą, oddala się z Sadyby. Mija po kolei siostrę, brata, kuzyna i kuzynki. Nie patrzy w ich stronę. Nie szuka w spojrzeniu Kazimierza instrukcji. Wie gdzie ma iść. Idzie w stronę Podbiałowego Wzgórza, ku obejściu opuszczonego Murowanego Domu.

Za nią wspinamy się wszyscy. Pusto na poletkach, pusto na miedzach, nawet ptaki gdzieś na chwilę uleciały, tylko u podnóża Podbiałowego Wzgórza pasie się brońcowa krowa.

Murowany Dom dziwi każdego. Pamiętają, jeden i drugi ze starych, jak wygląda i co się w nim życia robi, za Księdza Proboszcza. Teraz na Podbiałowym Wzgórzu stoi ruina. W ogrodzie, na tyłach Murowanego Domu, Kazek wytycza krąg na ognisko. Tadek z Wiesławą otaczają miejsce przyniesionymi spod domu cegłami. Ktoś je tu poukładał, jakby chciał coś remontować. Najpewniej zrezygnował z zamiaru, bo cegły obrosły cienką warstwą zielonkawego mchu. Zośka szuka suchego drewna. Hanka rozdlubuje ziemię grubym, wiązowym konarem. Ciężko jej idzie borykanie się z korzeniami, a musi głęboko kopać, aż do wilgotnej gliny, którą oblepi szczelnie, wcześniej wypatroszoną, ale nie oskubaną z pierza kurę. W takim kokonie, nieosolona, dojdzie w ogniu do zjadliwej kruchości.

Wszystko już gotowe. Stos w środku kamiennego kręgu. Zapas drewna obok. Hanka z mięsem w ręku. My naokoło. I milczenie. Teresa wznieca ogień. Czekamy aż pojawi się żar. Trwa to tyle, ile trwać musi, żeby ogień strawił suche szczapy i gałązki. Przyjemne ciepło robi się powoli, szybciej jednak niż mięknięcie mięsa, które dopiero co Teresa wsuwa jakimś przystosowanym kosturem do żaru. Najważniejsze, poza czekaniem, jest teraz patrzeć w ogień – ledwie się łyskający nad kopczykiem żaru. W tym patrzaniu jest ta potrzebna, najistotniejsza myśl, że z Tereski robi się Teresa, że staje się naprawdę kobietą.

W glinianym kokonie utleniają się gazy, to, co wydobywa się na powierzchnię, natychmiast spala się niebiesko-zielonym ogniem, reszta strzela z ogniska jak pociski. Kazek pożądliwie patrzy na Teresę. Zośka pociąga nosem i mlaska. – Jestem głodna. Mówi Hanka. Wiesia, Tadek i ja, wiemy, że nie chodzi o to, żeby się pospolicie najeść. Do tego służą ziemniaki – w każdej, możliwej postaci. Najlepiej obrane przez ślepnącą Marię i ugotowane w lekko osolonej wodzie. Właśnie Hanka pochłania ich codziennie najwięcej. Je odruchowo, bezwarunko-

wo. Przed chwilą, na Sadybie, okazało się, że z głodu potrafi zabić. Od jedzenia ziemniaków Hanka jest gruba, kluskowata i głupia.

Kiedy patrzyliśmy jak ukręca łeb niosce, sądziliśmy, że robi to z przekonania – świadoma szczególności chwili. Powinna coś powiedzieć, określić motyw, choćby jedno zdanie, nawet bez związku z przeistoczeniem Teresy. A tak? Informacja. – Jestem głodna. O tym wiemy bez gadania. O prostackim głodzie zapomina nawet zawsze głodny Kazek. – Zaraz się nażresz. Odpowiada Hance, zrezygnowany. Wiesława patrzy Kazimierzowi w oczy. Stara się w ten sposób osłodzić mu rozczarowanie. – To nie jej wina, że niczego nie rozumie, że niewiele wie, że z nielicznych rzeczy, które czuje, głód jest pierwszorzędny. Usprawiedliwia, nic nie mówiąc, Hanke.

Na nic się to zdaje. Kazek jest wściekły. Cały rytuał diabli wzięli. Tadek też markotny. – Może trzeba coś wytłumaczyć? Myśli Kazimierz. Wiesława wie, o co chodzi – zaprzecza kiwnięciem głowy. Hanka i tak nic nie zrozumie, Tadek wszystko wie, Zośce kompletnie się w głowie pomiesza, a Teresa tylko niepotrzebnie zostanie obnażona ze swojego wstydu.

Hanka na nic nie czeka. Nic nie wie o czekaniu. Zwyczajnie zdesperowana, głodna, wygrzebuje z ogniskowego żaru glinianą bryłę. Zośka klaszcze w ręce. Tadeusz z niedobrą obojętnością patrzy w ziemię. Kazek i Wiesława – zaniepokojeni. Hanka jednym uderzeniem drewnianego kostura rozbija glinianą skorupę. Pierwsza wyciąga kawałek upieczonego uda. Wyskubuje resztki pierza i wbija zęby w gorące mięso. Nie jest ani do końca upieczone, ani smaczne – raczej mdłe i twarde. Kazek wyrывa drugie udo, wkłada w usta wyszarpięte włókienko – przeżuwa, ale w odmiennej niż Hanka intencji. Wiesława wybiera część lewej piersi, najpierw kawałek podaje Zosi, drugim częstuje Tadeusza, jest kawałek i dla mnie. Wszyscy poruszamy gorliwie szczękami, ale mięso w żaden cywilizowany sposób nie daje się rozdrobnić – ciągle nie gotowe do przełknięcia. Trzeba będzie połknąć pierwsze i jedyne kęsy.

Teresa wie, albo się domyśla, że nie może tknąć żadnego mięsa, że jej nie wypada, że cała ofiara spełni się, jeśli najbliżsi, którzy nie widząc, wiedzą, a wiedząc nic nie mówią, w tej właśnie chwili osobliwej świadomości, przełkną coś, co martwe, ale z życia wzięte i życiu, przez strawienie, zwrócone. Myśl dziwna i dzika przeszywa Teresę, że właściwiej rzecz by się odbyła, gdyby zjedli świeże, surowe mięso, żeby na ustach zostały ślady ciepłej krwi. A krwi nie ma. Stoi Teresa, patrzy i myśli. Od tego stania, patrzenia i nadmiernego myślenia – wymiotuje. Coś ją mocno szarpie od środka, a nie może się wydostać. W kącikach ust barwią się perełki krwi.

Kazimierz uśmiecha się z satysfakcją. Wypluwa częściowo przeżute mięso. Wiesława także nie polyka, ale z zupełnie innego powodu. Ona wie, co kobiecie szarpie w środku, kiedy zostaje kobietą. Pozostali dalej, uparcie żują mięso.

Hanka z głodu, Zośka dla przygody, Tadeusz ze złości, że coś wymknęło się jego rozumowi, ja – nie wiem, dlaczego w ogóle coś teraz jemy. – Nie czas na jedzenie. Myślę. Nikt się z moim myśleniem nie patyczkuje. Choć nikt też nie wybiera z ogniska następnych szczątków mięsa. Wszystko, co miało być zrobione, zostało zrobione. Tylko Tadeusz, któremu nie udało się w gniazdach żadnego jaja wymacać, stoi nad ogniskiem i zwyczajnie szcza do żaru. Wiesława odwraca głowę, Hanka nie wie, o co chodzi, Zośka chichocze, Kazek wpatruje się w okna Murowanego Domu, ja pomagam w gaszeniu Tadeuszowi, tylko Teresa z nas wszystkich jedyna dyszy z przerażenia. Zaraz widać, że nie z powodu naszej niedyskrecji.

Nagle Teresa aż podskoczyła na widok poruszających się na krańcu ogrodu od kupy lat nie koszonych podbiałowych przerostów, wielkich jak gęste kobierce lepiężnika. – Rany boskie! Krzyczy świeżo namaszczona kobieta.

Ze zmierzwionych krzewów i liści wstaje z klęczek ciotka Bronka. Cichcem się jakoś tutaj znalazła – a nie powinna, bo to, co zobaczyła spełniało w całości przeklęte przestrogi.

Powiadali więc ludzie, że jeśli na sadybie którejś na zjedzenie chamskie pójdzie ostatnia i jedyna nioska gospodarska, to nikt już nigdy na takiej sadybie się nie urodzi. Nie ma na to zjedzenie usprawiedliwienia największy głód, najcięższa choroba, w ogóle nie ma na świecie żadnej zasadności zabijać coś, co choćby intencją płodności zachowuje. Wie o tym ciotka Bronka, wiedzą wszyscy, którzy powinni wiedzieć w całej Zimnej Wodzie. A i niewyraźnie z przekleństwa Zabawiny to wszystko wynika.

Tak jak szybko z klęczek wstała ciotka, jeszcze szybciej na kolana pada, gdy widzi, co się w dogasającym żarze święci. – Jezusie nazareński! Krzyczy i ręce splecione jak do modlitwy ku niebu wznosi. Na nic Kazka intencje zaznaczenia płci Teresy, na nic zrozumienie Wiesławy, na nic uległa gorliwość Tadeusza, nieświadoma radość Zosi, toporny głód Hanka i moje niezrozumienie – na nic w ogóle wszystkie ludzkie uczucia, kiedy spełnia się jak śmierć, z przepowiedni wywiedziona, naturalna kolej rzeczy.

Niczego ciotka Bronka nam nie tłumaczy. Jęczy, pomstuje, cała przepelniona żalem. Nie ma takiej siły na całym świecie, żeby odwrócić to, co już się stało. Po przekleściu Kornelii, jeszcze tego ogniska, tego glinianego kokonu wypełnionego zabijaniem – brakowało, żeby Sadyba znikła po innych przekleństwach w całkowitym zapoznaniu.

I o tym wie ciotka. Klęczeć, pomstować, Boga o coś prosić – nie ma już sensu. Wstaje, kopniakami wściekle rozbija ceglany krąg ogniska. Zimne cegły bierze w ręce, podbiega bliżej pustego dobrodziejowego domu i ciska po kolei w okna wszystkimi cegłami.

Stoją w ogrodzie Księdza Proboszcza – a nie wiedzą gdzie naprawdę stoją

– dzieciaki Józefa Bajno, dzieciaki wdowy Klary. Żadne nie powstrzymuje ciotki Bronki przed rozbiciem ostatniej całej szyby w Murowanym Domu. Nawet gdyby udało się ciotce zamienić tę ruinę w Kolchidę – i tak wszystko, co złe z Murowanego Domu spłynęło na Sadybę, zostanie w piachu za murem tarnowieckiego cmentarza, opodal zadżumionej Połaci.

Ciotka ze zmęczenia kuca pod murem Murowanego Domu. Bezradna jak los, co się toczy, czy ktoś tego chce, czy nie chce. Milczy – a to milczenie, w domyśle, jest nawet dla głupiej jeszcze z powodu dziecinności Zośki, przerażające. Coś zawisło w pustce, która ni z tego ni z owego nastąpiła, chociaż wydawało się mądrej Wiesławie i rozsądnemu jak nigdy Kazimierzowi, że spełniliśmy wszystkie potrzebne dla płci Teresy powinności. Nie dowiemy się, o co naprawdę całe milczenie się toczy wokół Podbiałowego Wzgórza, wokół Murowanego Domu i czy coś innego wykrzyczałaby ciotka, gdybyśmy kurę upiekli na przykład nad niczemu winnym strumieniem.

Nagle jakaś zła energia w ciotkę wstępuje. Wstaje, podnosi z ziemi porzucony przez Hanke wiązowy kostur, macha nim w powietrzu, krzycząc w niebogłosy. Podbiega do Kazimierza, pierworodnego, zamach bierze niebabski, ale nie uderza. – Przeklęty! Krzyczy. Jakby Kazek o tym nie wiedział. – Wszyscyście przeklęci. Dodaje ciszej. – Przeklęci. Kończy z płaczem. Kij odrzuca i tuli w ramionach najmłodszą Zośkę. Popatruje na Hanke, z politowaniem kiwa głową.

Czegoś się Wiesia domyśla. Dziwi się, że ani Tadka, ani Teresy i jej samej Bajnowa nie przeklina. – Nie z głodu ta kura. Nie z głodu. Wyjaśnia. Ciotka Bronka jeszcze mocniej Zośkę ściska. – Nic gorszego, jak płodną niebogę ubijają, głupia. Karci niby najmądrzejszą z wszystkich oprawców Wiesławę. – Było się nażreć ziemniaków, czernic, orzechów, ja wiem, czego, mało tego obok na świecie? Pyta ciotka jakby pogodzona z przekleństwem. – Oj będziesz ty się długo z tej kury spowiadać, że ci na pokutę świątobliwości nie stanie. Grozi Wiesławie, jako, że z pastuchów Bajnów najstarsza.

Kazimierz chce się usprawiedliwić, podać powód – choć boi się przyznać, że kurze łeb ukreśliła normalnie, na co dzień niemrawa Hanka, wstydzi się powiedzieć, że wszystko to z powodu kobiecości Teresy. Bo i co na poły obca Teresa może ciotkę obchodzić?

Dzieciaki nie wiedzą o spełnionej właśnie przepowiedni bezpłodności na Sadybie, ciotka nie wie o dzieciaków instynkcie, który właśnie się uświadomił. – Do chałupy mi już wszystkie zaraz, a wy u wdowy–matki proście o wybaczenie. Godzi się z losem ciotka Bronka.

Kiedy już dzieciaki od Bajnów i dzieciaki od wdowy Klary posnęły, kiedy przez sen ciotka wzdycha, kiedy krowy przy żłobach uwiązane długimi łańcuchami leżą i przeżuwiają dzienny popas – grubo po północy Józef Bajno na skrót, przez Podbiałowe Wzgórze, pijany do chałupy wraca z cegielni. Wyga-

słe ognisko, w pełni księżycy, widoczne jak w słoneczny dzień. Zresztą nawet w największych ciemnościach wuja wyczuwa zapach pieczonego mięsa. Prawie potyka się o rozpaprane resztki ostatniej nioski na Sadybie. Wącha i wie, że świeże. Nawet lubi zimne i twarde, źle, że słabo słone. Żre własną kure, nieświadomy, że ogryza do kostki całą martwą płodność Sadyby. Mało go obchodzi Hanki, czy Zośki zrobienie z niego dziadka. – W dupie mam głupie gadanie sfiksowanej baby. Wścieka się rano, gdy mu ciotka Bronka zdarzenia przy pasieniu przedstawia i na dobre przerażona przypomina kasandrzenie Zabawiny. Wkurza go jedynie ssanie w żołądku z powodu niestrawności oraz zwykły kac z powodu nadużycia. Musi, z wiadro wody wypija i stęka przez cały dzień. Złorzeczy przede wszystkim Hance, że głupia, gruba, nieruchawa, że żaden, najgłupszy, najbrzydszy, najbiedniejszy chłop nawet na nią nie pierdnie. Kazimierzowi, ni z tego ni z owego, ale pewnie z powodu kociokwiku, próby dostawiania się do szklanki wypomina. – A teraz młode baby mają w czym przebierać i opoja nie zechcą nawet rozsądnego, kiedy rzadko nie pijany! Wrzeszczy pierworodnemu prosto w twarz.

Ciotka Bronka, co spojrzy na którąś z córek, zaraz w gardle czuje olów. Kiwa głową.

I kiwać będzie, aż Zośka – jako stara panna – gdzieś w Polskę z Sadyby pojedzie. Aż Hanka sama ze sobą znudzona posiwieje. Aż Kazimierz przestanie bezpłodnie trzeźwieć nawet rano w niedzielę.

Nikt już nigdy niemowlęcego beczenia na Sadybie nie usłyszy. Tylko nikomu niepotrzebna cnota w rodzinie zostaje. W dwójnasób. Najpierw u Hanki, potem u Zośki. Może odwrotnie, chociaż nikt ani o cnotce u Bajnownych, ani o kolejności jej zachowania – ani ma pojęcie, ani wie.

III NAGRODA W KATEGORII PROZY

ANNA CZUJKOWSKA-WŁODARSKA

BUJNA GŁOWA I KORPUS DYPLOMATYCZNY

Za oknem prywatnej kliniki profesora Aleksandra Iwanowicza Kazarina na kijowskim Podole zapadał zmrok. Ostatni letni zmrok, zapalający w przejrzystym powietrzu białe, rozrzedzone plamy światła. Światła latarni mieszały się jeszcze ze światłem dnia, z cichymi odgłosami ulicy i z ciepłym oddechem Dniepru, dolatującym od niżej położonych ulic, spomiędzy gęstwiny drzew i krzewów. Wszystko to współlistniało ze sobą w sposób zwiastujący rychłe nadejście jesieni. Albo też jesień przyszła dziś właśnie, choć nie było na nią jeszcze pory w kalendarzu, jako że był to dopiero jeden z ostatnich dni sierpnia.

Borys Nikołajewicz patrzył w zamyśleniu przez okno swego pokoju. Już kiedyś w podobny sposób zarejestrował w pamięci pierwszy przebłysk jesieni. – Więc nic się nie zmieniło. Jego głowa zachowała pamięć wszystkiego, co dotąd przeżył i pozwalała mu na niezmienny odbiór świata – Odetchnął z ulgą. Za jakąś godzinę powinna tu po niego przyjechać jego żona, Anastasija Pietrowna. Raz jeszcze przeszedł się po pokoju niespokojnie, nie rozpoznając własnych kroków.

Bo też to nie były kroki Borysa Nikołajewicza, lecz kroki innego mężczyzny, o pół głowy wyższego niż on i wyraźnie szczuplejszego. Nogi z kościstymi kolanami rozchyłały się na boki eliptycznie, do czego trudno się było Borysowi przyzwyczaić. Właściwie nic nie należało do niego: ani delikatne, smukłe palce, ani pokryta rzadkim zarostem klatka piersiowa, ani intrygujący męski narząd w dole brzucha. Cały należał do innego mężczyzny; prócz głowy, która wciąż była jego własnością, a czego dowód dawała mu oznakami niezmiennie żywej pamięci i żywej świadomości.

– Przeszczepiono mi do głowy całe obce ciało, ale przecież nadal jestem sobą – uspokajał własne myśli – inaczej bym nie pamiętał o bożym świecie. – Ale może myśli to i mówi za ciebie ktoś inny? – podszeptowała mu niepewność – Skąd wiesz, że Borys Nikołajewicz jest właścicielem tej głowy i wszystkiego, co się w niej zawiera? A w ogóle, że jest on tobą? Że był kiedyś posiadaczem

zmasakrowanego ciała, które pozbierano pół roku temu na torach kolejowych w podkijowskiej Darnice? Z wypadku ocalała jedynie głowa i pozbawiony trzech kończyn, w znacznym stopniu uszkodzony tułów, którego wewnętrzne organy z trudem podtrzymywały życiowe funkcje. Zrozpaczona Anastasija, gdy tylko dowiedziała się o tragedii, natychmiast powiadomiła o niej zaprzyjaźnionego Profesora Kazarina, sprawiając, że jej konający mąż – zamiast do państwowego szpitala – przewieziony został do prywatnej kliniki słynnego chirurga. Niewątpliwie, potrzebna tu była wiara w cuda, ale wszak Profesor Kazarin zdradzał im przeróżne medyczne sztuczki, a kiedyś nawet przy wódce, podczas jednej ze swych wizyt, opowiadał im o realnych możliwościach przeszczepiania ludzkiej głowy i o skrywanych zamiarach przeprowadzenia takiej operacji.

Sprawa wyglądała dramatycznie. Serce Borysa Nikołajewicza przestało bić niemal natychmiast i nie było szans ani celowości walczyć o więcej, niż o jego głowę. Przez parę tygodni chirurg podtrzymywał ją przy życiu dzięki podłączeniu do sztucznego płucoserca. Ranny nic nie pamiętał z tego okresu, gdyż przyjaciel medyk zdecydował się nie wyprowadzać go ze stanu uśpienia. W międzyczasie sztab zaufanych pracowników poszukiwał dlań odpowiedniego dawcy z niezbędną zgodnością tkankową. Skąd wytrzaśnięto korpus? – tego jak dotąd nie dane mu było poznać. Sam zresztą by tego nie chciał wiedzieć, przynajmniej jeszcze nie teraz.

A więc mógłby już dziś nie żyć. Leżałby sobie na Cmentarzu Bajkowym, który przynajmniej z nazwy zdawał mu się zawsze być miejscem oswojonym. Od dziecka podtrzymywał w sobie wiarę, że to barwna kraina szczęśliwości, do której idą na wieczną zabawę dusze zepsutych żołnierzyków, lalek, pajaców, misiów, a także martwych kotów i psów. W rzeczywistości, nazwa pochodzi od nazwiska jakiegoś generała, lecz przecież i tak jest „bajkowa”, więc na jedno wychodzi.

No, z tą może tylko drobną różnicą, że nie „sobie” by leżał, lecz wszystkim innym, którzy by kontemplowali jego odejście. Sam by przecież z polegiwania na Bajce nie miał żadnej przyjemności. Jak choćby przyjemność z tych długich godzin w klinice Profesora Kazarina, spędzonych na cudownym bezmyśleniu. Wynikało wszakże owo bezmyślenie z wyboru, którego w naturalny sposób braknie w rozróżnieniu pomiędzy życiem i śmiercią. Może i sama śmierć by nie była tak straszna, gdyby nieboszczyk miał wiedzę o tym, że nie żyje?

Z zamyślenia wyrwał go zgrzyt otwieranych drzwi i wesoly głos Anastasiji: – Witaj, kochanie. Pora do domu. Zabieram cię stąd wreszcie – pocałowała go pośpiesznie w policzek. Zaraz za nią wkroczył do pokoju Profesor Kazarin. – No, Boria – klepnął go lekko w ramię – zaczynasz nowe życie! Cokolwiek by się z tobą działo, pamiętaj tylko, że nie wolno ci tracić głowy...

Anastasija prowadziła auto, zerkając co chwilę na siedzenie obok, na któ-

rym kokosił się jej cudem odzyskany mąż. Wyciągał w górę szyję, wysuwając nienaturalnie do przodu dolną szczękę. Zataczał ramionami na przemian drobne kółka. Mimo, iż przesunęła siedzenie do tyłu, nie mieścił się w starym Zaporozcu. Kilkanaście centymetrów wzrostu czyniło istotną różnicę. Nie tylko zresztą w aucie. Kremowa koszula okazała się być za szeroka, za to jej przykrótkie rękawy okalały chude przedramiona. Jeszcze zabawniej prezentował się w spodniach. Anastasija spoglądała na nogawki nie sięgające do kostek. Cieniutkie nóżki. Przypominał jakieś żywe stworzenie. Tylko jakie? Poszukała pośpiesznie w pamięci. Już wie. Archeopteryks. Praptak.

Niełatwo było Borysowi Nikołajewiczowi znaleźć się na nowo we własnym domu. Mieszkanie na drugim piętrze kamienicy na Kreszczatku, duma jego i chluba, nagle wydało mu się niższe niż dawniej. Zdobione sufity atakowały głowę, wywierając na jej ciemną wyraźnie wyczuwalny ucisk. W za krótkich kapciach, z piętami suwającymi się po rozklekotanym parkiecie, natrafiał co rusz na niemiłe niespodzianki: od kurzu na szczytach szaf, o którym nie miał pojęcia, po wszystkie lustra ucinające mu czubek głowy. Za długi okazał mu się być również dystans od talerza do ust, co skutkowało nieustannym rozlewaniem zawartości łyżki. Lustra wkrótce powieszono wyżej, z resztą zaś nie można było sobie tak łatwo poradzić. – Nie potrzebujesz dłuższych rąk, Boria – komentowała żona, przekonując samą siebie – Ten facet miał przecież głowę w tym samym miejscu, co ty. Chciałam powiedzieć oczywiście, że nie musisz mieć krótszych rąk – poprawiła się szybko.

Borys intuicyjnie winił za wszystko swoją głowę, wierną dawnym przyzwyczajeniom. Pozostały w niej najwyraźniej, budowane latami doświadczeń, dawne wzorce odległości, czucie dystansu, zamysły i nawyki ruchowe i kto tam wie co jeszcze...

W gruncie rzeczy mógłby się sobie podobać w nowej posturze, gdyby bardziej jeszcze nie podobał się Anastasiji. Podejrzenie podobał. Nigdy wcześniej nie przydzielała mu tyle uwagi, co teraz. Nie pamięta, by kiedykolwiek z równą czułością dotykała jego piersi i brzucha. Teraz wielbiła każdy skrawek jego – nie jego ciała. Na razie miał odczucia ambiwalentne, jednak czuł, że dryfują one niebezpiecznie w stronę nie tylko najwykleszej zazdrości, ale wręcz negocjowania w sobie obcego mężczyzny. Najtrudniejsze do zniesienia było to kotłujące się w nim poczucie krzywdy skojarzone z poczuciem winy: – Nie przeszkadza jej moja odmienność, zupełnie inna bruźda w zagięciu ramion, w którym tak chętnie składa głowę i ten zapach w niczym nie przypominający mojego dawnego zapachu. Każdym krokiem, każdą kroplą potu i oddanego moczu jakiś obcy facet znaczy w moim domu i w moim własnym łóżku swoje terytorium. Kim jest, że wynajął podstępnie moją głowę, aby zagarnąć cały mój świat? Czy wie coś o tym i jak się z tym czuje? Mój Boże, czy on się w ogóle jakoś czuje? Nie jest wi-

nien ten nieszczęsny, że kładę jego ciało w ramiona obcej kobiety. Tak naprawdę, dokonuję na nim pośmiertnego gwałtu. Wybacz mi, bracie, wybacz – ukrył twarz w dłoni, a drugą dotknął delikatnie przez kieszeń spodni swych genitaliów. Milczały. Nie odpowiadały na zaczepki i coraz większą natarczywość ręki. Poczuł w sercu bolesny skurcz i zimny pot na czole. Igrał z losem i być może został ukarany odebraniem ledwie co odzyskanej męskości, na którą nie zasłużył. Pewnie zorientowały się, że ich nie potrzebował, a chciał je tylko sprawdzić. Ale nie zrozumiały go. Chciał po bratersku okazać im męską solidarność. A jeśli sprawdzić, to co najwyżej mimochodem. Miał to w zwyczaju od początku, gdy po przeszczepie męczyła go niepewność, czy nowy narząd będzie mu posłuszny. Przez długi czas nie reagował, doprowadzając go niemal do rozpacz, z czasem jednak, pobudzany cierpliwie, odwdzieczył się rezonansem, co bezgranicznie uszczęśliwiło Borysa Nikołajewicza, jako że nie wyobrażał on sobie, by nigdy więcej nie miał już uszczęśliwić swojej młodej żony.

– A ty durniu masz pretensje do ptaka, że się podnosi dla niej... Jest przecież tylko posłusznym narzędziem twojej głowy. To mózg rządzi seksualnością człowieka. Twój mózg jej pożąda. Wie o tym każdy pilny uczeń gimnazjum – Borys wybijał palcami na skroni tę oczywistą prawdę, aby jej już nigdy nie zapomnieć. – Ale to on chce wmaszerować tam, gdzie tylko ja miałem prawo się zapuszczać. Jest okazalszy od mojego fiutka, jest dłuższy i grubszy i wyraźnie nachalniejszy, jakby chciał mnie upokorzyć. A ta słodka szelma nie może się od niego odkleić – precyzował swoje obawy Borys, zmuszony używać forteli, by zniechęcić żonę do miłosnych igraszek.

Do tej pory skutecznie udawało mu się powstrzymać Anastasiję Pietrowną przed sfinalizowaniem zdrady własnego męża. Stał na straży jej cnoty i własnego honoru. Abstynencja niezupełnie była mu w smak, ale miłosną przyjemność postanowił złożyć na ołtarzu wierności. W międzyczasie dużo rozmyślał i zadawał sobie pytanie: – który to z nas wykorzystuje drugiego, aby czerpać z życia tyle, na ile pozostało mu jeszcze możliwości? Przechadzał się po domu równym, zdecydowanym krokiem. Nauczył się posługiwać rękami i nogami do tego stopnia, że czynił to z niebywałym wdziękiem i gracją. Otrzymał całe mnóstwo nowych ubrań, które czyniły go mężczyzną eleganckim i niezwykle przystojnym. Mimo przyjmowania leków zapobiegających odrzutowi przeszczepionych tkanek, nie chorował wcale i wyglądał kwitnąco.

Żona Anastasija tymczasem wędła wśród starych bibelotów, spędzając czas na szydełkowaniu i przeglądaniu poślódkłych fotografii. Raz w miesiącu chodziła z niezamężną koleżanką Iriną do Rosyjskiego Teatru Dramatycznego, skąd wracała z wypiekami na twarzy i rozmazanym od łez makijażem. – Chcę mieć dziecko – nie wytrzymała wreszcie któregoś dnia i wyrzuciła to z siebie tonem na tyle kategoriycznym, że Borysa zatkało. Powiedziała to akurat ósmego marca,

w dniu, w którym każda kobieta miała powód czuć się główną, barwną bohaterką szarego serialu codzienności.

– Nie potrafię już tak dłużej, Boria – kontynuowała Anastasija – skończyłam 30 lat i nie mam czasu na robienie żartów z życia. Profesor Kazarin nie widzi przeszkód, byś mógł zostać ojcem – kobieta zaczerwieniona z emocji odwróciła się szybko i pod jakimś pretekstem pobiegła do kuchni.

Jaskinię Lwa buduje przynajmniej jeden raz w życiu każdy prawdziwy mężczyzna. Jest ona tym, czym jest buda dla pospolitego podwórzowego psa. Z budy pod żadnym pozorem nie wolno stworzenia wyciągać, gdyż jest to jedyne przynależne mu miejsce na Ziemi. Świątynia Dumania. Borys Nikołajewicz wymościł swoją jaskinię w rzadko uczęszczanym pokoiku, w którym zimą brakło ogrzewania. Stały tam wypełnione starymi książkami, pamiętającymi jeszcze czasy rewolucji, dwa kufry jego babci Uljany. Za niewysokim regałem stała niewidoczna od drzwi kozetka, na której leżąc można było spędzać długie godziny. – Wiedziałem, że w końcu przyjdiesz – przemówił do niego obywatel z dolnej, podległej części ciała. Zachowujesz się jak smarkacz. – Dobrze ci mówić – płynęło prosto z samego środka głowy – myślisz, że łatwo jest oddać własną żonę w ręce obcego faceta? – Nie jestem obcy. Jestem teraz tobą. Jestem twoim niewolnikiem, niezdolnym uczynić nic bez twojej zgody. – Jesteś niewolnikiem, ale nie jesteś mną. Moja żona poczuła do ciebie słabość, gdy tylko położyła na niej swoje łapska. – To ty miałeś łapska. Moje ręce dotykały delikatnie strun i trzymały smyczek. A może biegały po klawiszach maszyny do pisania, a może mieszały farby na palcu i przenosiły je na płótno...

Borys od początku czuł, że żyje w tandemie z człowiekiem nietuzinkowym, który rzucał całemu jego życiu nie lada wyzwanie. Być może właśnie to sprawiło, że trwał w ciągłej dezintegracji.

– A jeśli podnosi ci się mój ptak, to już nie dla mnie, zrozum to wreszcie – tłumaczył dalej głos osobnika z niższej części ciała. Tak czy inaczej, bez twojej głowy flecik, który ci dałem w wieczyste użytkowanie, jest głuchy. Grać może tylko te melodie, które ty sam znasz i nie inaczej grać, niż potrafisz.

Tego samego jeszcze wieczoru Borys Nikołajewicz zdecydował uczynić Anastasję matką. Pozwolił jej ręką pieścić cudze, przez siebie tylko zarządzane obszary ciała. Czuł się przy tym jak perwersyjny mąż, który z racji niemocy musi się zadowalać podglądactwem i otrzymuje od kochanka żony intymny, fizjologiczny przekaz jego erotycznych doznań. Stało się to dlań formą zadośćuczynienia i zaraz potem trudnym do zaakceptowania faktem współudziału w miłosnym trójkącie. – A czyjeż, na Boga, będzie to poczęte dziecko, Nastia? – zapytał cichym, strwożonym głosem.

– Jak to czyje, Boria? Nasze będzie przecież. – To wiem. Ale czy ono będzie moje, czy jego? – dopytywał pełen drżenia. – Jego? Którego „jego”?

– Anastasija spojrzała na męża z wyrzutem . – No wiesz... jego – wybełkotał niewyraźnie wskazując palcem miejsce, w którym poczuł bolesny ucisk w żołądku. Anastasija milczała. Nie знаła odpowiedzi, albo pytanie wydało jej się niedorzeczne. – Nie sądzisz chyba – złowieszczy wewnętrzny głos nie zamierzał czekać i już formułował odpowiedź – Nie uważasz, że z moich jąder mogło się począć twoje potomstwo, Borysie Nikołajewiczu? Ale przynajmniej nie jesteś mi nic winien. Jesteśmy kwita.

Na Kreszczatku wybuchła wiosna, zapalając na kasztanach białe świece. Jazgot ulicy wdierał się do domu przez otwarte okna, a na chodnikach podfrunęły papierki po lodach Eskimo na patyku, zwłaszcza najbardziej pożądanych Leningradzkich Eskimo, wyrzucanych cichaczem przez obywateli miasta pod nogi podczas pierwszomajowej promenady. Święto Pracy co roku otwierało w mieście sezon na lody – zauważył Borys Nikołajewicz, dowodząc tym samym ciągłości myśli i praw autorskich do wszystkiego, co wyprodukowała jego głowa.

W któryś z takich dni majowych Anastasija weszła do domu wyraźnie pobudzona i oznajmiła Borysowi, że będzie miała dziecko. Prawdę mówiąc, nie był tym zaskoczony; zdziwił się nawet, że zorientowała się tak późno, skoro on wiedział od początku. Nie mógł jej dać własnego i zdołał już przywyknąć do myśli, że będzie wychowywał pomiot tego przemądrzałego Cwaniaka, zamieszkującego podległe mu członki. – Powiniennem utrzyć mu nosa i przywołać do porządku. Nie rozumiem doprawdy, czemu pozwalam mu na tyle zuchwałości! Wiem, nie mam wyboru – uznał ze smutkiem – moja głowa nie przeżyłaby chwili bez tej przeklętej maszyny pompującej krew. Nie utrzymałaby przy trwaniu moich myśli, które muszą żywić się tlenem, choć – jak w każdym biologicznym procesie – pozostają z tego toksyczne odpady, zbierające się w cały smród tego świata. Fetor zgnilizny nie oszczędza najpiękniejszych kwiatów.

– Będę cię ignorował, Gagatku. Nabrałeś zaudto wiatru w żagle, rozbistwiłeś się i rozpanoszyłeś w moim domu, podczas gdy ja zawsze żyłem tu cicho i skromnie. Ożywiłem twego trupa na własną zgubę, bo zaudładnąłeś wszystkim, co mam. Dopiąłeś swego, ale nie licz na to, że będę spokojnie tolerował umizgi, jakie w twoim kierunku czyni moja niewierna małżonka – Borys kopnął ze złością w kant łóżka. Zabolalo. – A widzisz? Oberwałeś. Moja głowa też potrafi zadawać ból. Bez niej można by cię było rąbać na kawałki, a ty byś nawet nie poczuł.

Profesor Kazarin nie mógł się nadziwić sprawności, jaką Borys Nikołajewicz odzyskał po tak rozległej operacji. Przy każdym kolejnym spotkaniu ze swym pacjentem dostrzegał niewiarygodne postępy. – Jest lepiej, niż mogłem przypuszczać w najsmielszych marzeniach, Boria. Twoje nowe ciało najwyraźniej ci sprzyja. Polubiło cię: żadnych niedowładów, żadnej dysartrii... Gratulu-

ję i z niecierpliwością czekam, aż zostanę wujkiem! – Faktycznie, Mistrzu, nie mogę narzekać. Moje ciało czuje się akceptowane również przez Anastasję. Zupełnie, jakby je znała od lat. A jeśli już sobie rozmawiamy otwarcie, to może mógłbym się czegokolwiek dowiedzieć o moim wybawcy? Profesor spojrział mu uważnie w oczy, jakby szukał w pamięci, po czym rzekł: – Nie zwracaj tym sobie głowy, Boria. Ciesz się, że podobasz się swojej kobiecie i niech ci to wystarczy.

Borysowi Nikołajewiczowi nie wystarczyło jednak takie skwitowanie sprawy. Po reakcji Profesora stracił resztę pewności, że Elegancik mógł być w jego życiu kimś zupełnie przypadkowym. – A może moja żona znała tego człowieka? Może się w nim skrycie podkochiwała? Przedtem czy potem dopiero, gdy wszedł za mną do mojego domu? Patrzył bez emocji na jej powiększający się brzuch, uznając w tej obojętności własną wspaniałomyślność. Gasił za to skutecznie wszystkie pieszczoty, jakimi – po kilku rutynowych cmoknięciach w policzek – próbowała obdarowywać kwitnące terytorium jego rywala. Prześladowujące uczucie zazdrości męczyło go i gorszyło coraz bardziej. Mimo to, kilka razy wyszedł za żoną ukradkiem z domu, próbując śledzić jej trasy, lecz zawiodły go one w najzupełniej banalne miejsca.

– Gdyby tak mogła mnie kochać dla mnie samego! – Borys Nikołajewicz postanowił wystawić uczucia żony na próbę. Co prawda, działało się to w sposób nie do końca zamierzony, jednak prowadziło przez działania realnie wymierzone przeciwko sobie samemu. No, dokładniej to może przeciwko sprzężonemu z Borysem Intruzowi, jednak trzeba było zapłacić za to niemałą cenę.

Pierwszym grzechem, który popełnił – jak mu się zdawało – przy najzupełniej zdrowych zmysłach, był grzech zaniedbania. Nie było wszak powodu, by przydzielać Cwaniakowi aż tyle troski w kwestii ubioru. Borys coraz częściej sięgał po swoją starą garderobę. Szerokie, bezkształtne koszule i przykrótkie nogawki spodni czyniły teraz mężczyznę o tak nienagannej powierzchowności podobnym strachowi na wróble, przyodzianemu w przypadkowe łachmany bądź zgoła w opadły nań spadochron, czym wzbudzał on na ulicy ogólną wesołość. Poszła za tym wkrótce niezdarność w sposobie poruszania się i ogólne niechlujstwo. Powoli popadał w alkoholizm.

Zdegradowany Piękniś nie dawał jeszcze niczego po sobie poznać. Zajęty był Anastasją, bliską już rozwiązania. Teraz to on ignorował wszystkie działania Borysa Nikołajewicza, mimo iż ten dwoił się i troił, ocierając się niemal o akty autodestrukcji.

Miarka przebrała się po narodzinach Olgi, córki jego żony Anastasji i owego podstępnego Oszusta. Nie uważał bynajmniej, by dziecko było mu cokolwiek winne, choć nie było podobne ani do matki, ani tym bardziej do niego. Filigranowa kruszynka ścisnęła mu mocno palec, który – dobrze pamiętał – nie

należał do niego, lecz do tamtego szczęściarza. Był z tego wszak jeden pożytek : Anastasija na czas jakiś odstawiła na bok swojego kochanka, poświęcając całą uwagę dziecku. Wymarzony spokój nie trwał jednak długo: okazał się być zwykłą ciszą przed burzą. Ledwie tylko niemowlę podrosło i pozbawione zostało dostępu do piersi, dawna namiętność do kochanka wybuchła ze zwielokrotnioną siłą. Anastasija rzucała się w jego obce ramiona bezceremonialnie i bezwstydnie. Na oczach męża prowokowała intymne sytuacje, domagając się zbliżeń i wciąż nie czuła się nasycona. Gdy kolejny raz odmówił uczestnictwa w gorszącym i upokarzającym go akcie, wywołał potężną awanturę i zebrał reprimendę , po której musiał – ratując resztki honoru – wynieść się z domu.

– Jak mogłeś mi to zrobić, idioto – atakował go niewyżyty Don Juan – Sam będąc do niczego, zazdrościsz innym mężczyznom, że mogą się spełniać i dawać szczęście kobietom! – Nie możesz żadnej uszczęśliwić bez mojej pomocy, kretynie. Proszę, idź i pokaż, co potrafisz! – Borys zdenerwował się nie na żarty. – To ty pokaż, eunuchu, co ci tam zostało! – nie wytrzymał Kochanek.

Długo chodził Borys Nikołajewicz brzegiem Dniepru. Upokorzony pragnął uciec od całego świata i od siebie Przystojniak zamilkł. Pewnie zrozumiał, że przesadził, ale to już nie miało dla Borysa żadnego znaczenia. W małym sklepiku kupił pół litra wódki Stołecznej i powędrował w stronę Aquaparku. O tej porze roku w dzikich jego zakątkach wśród sosen powinny już były zakwitnąć wrzosey. Słońce, które zniżało się ku zachodowi, rozświetlało przez gałęzie łaciate kremowo – liliowe dywany. Warto było tu przyjść – pomyślał – by ostatni raz spojrzeć na cuda, których dawno już nie oglądał. Wzrok Borysa wspiął się po drobnej gałązce ku górze, do solidnego konara. Mógłby się nadać, ale nie miał przy sobie sznurka i nie miał też żadnej pewności, że śmierć by była dobrym wyjściem. Pętla przerwałaby życie symbolicznie w miejscu, w którym – poprzez spojenie głowy z Obcym – zostało mu ono przywrócone, jednak na wieki by już z tym Obcym pozostał... Położyć głowę pod topór? Ba! Ale jak tego dokonać? Nawet jeśli tak, to nie od razu. Zasługuje Cwaniak na nauczkę i karę za życia. Już ja go załatwię. Moja w tym głowa...

Borys Nikołajewicz ruszył przed siebie, rozglądając się dookoła. Szukał czegoś, co by mu pomogło zrealizować podjęty zamysł. Nie znalazł. Za to jednak co chwilę na jego drodze pojawiali się spacerowicze: sunące wolno w objęciach pary zakochanych lub pośpiesznie ciągnieni na smyczy przez własne psy, samotni obywatele. Odosobnione miejsce znalazł wreszcie na jednej z licznych mielizn, tworzących na rzece podłużne, porośnięte roślinnością wysepki. Szczęśliwie, natknął się u brzegu na niestrzeżoną łódkę. Przeprowadził się bez trudu. W krzakach na wyspie dostrzegł ślady niedawnego ucztowania: trzy wyjedzone puszki kilki w tomacie , butelkę po wódce Stołecznej, dwie butelki po najtańszym winie Owocowo –Jagodowym zwanym tu” Łzami Miczurina”, jak również

dwie po najpewniej leczniczym Białym Mocnym, tak zwanej „biomycynie”. Borys Nikołajewicz wyjął z kieszeni Stołeczna, otworzył ją i wypił z gwinta kilka dobrych łyków. Chlusnąwszy nieco trunku na garść, obmył butelkę dokładnie z zewnątrz, po czym opuścił spodnie i przemył wódką genitalia. Wlał w gardło pozostałą zawartość butelki i uderzył nią mocno o „Iżę Miczurina”, uzyskując ostry, całkiem kształtny tulipan. – Ja cię zwę Pomyłką Kazarina – wybełkotał, po czym ułożywszy się na ziemi, ujął swój męski narząd w lewą rękę, prawą zaś wraz z ostrym narzędziem uniósł do góry jak topór. Po chwili zastanowienia rozsuptał sznurówkę w bucie i wywłókłszy ją, mocno ścisnął u nasady członek wraz z jądrami. – Od życia cię od razu nie uwolnię, Cwaniaku, ale spróbuj pożyć bezinteresownie – Nie czekając na prośby i błagania skazańca, zacisnąwszy zęby, jednym i zaraz potem drugim silnym uderzeniem przeciął miękką tutkę. Opadła na ziemię jak szyja martwego ptaka. Przeszył go ból silny, nie do opisu, a strugi krwi zboczyły stopy. Z ostatnich sił zdołał wyrzucić z siebie dziki, przerażający ryk, po czym zemdlony runął w otchłań niepamięci. Ocknął się w szpitalu na Pawłowskiej. Ktoś z przepływającej w pobliżu łódki usłyszał jego rżenie, a dopłynąwszy tam i ujrzawszy nieszczęśnika, przewiózł go do brzegu i natychmiast sprowadził pomoc.

Anastasija nie odwiedziła swego męża w szpitalu ani razu. Gdy po miesiącu wrócił do domu, oznajmiła mu, że wniosła właśnie pozew o rozwód. Nie odzywała się całymi dniami i nie pytała o szczegóły. Jej kochanek też milczał. Wyglądało na to, że się z okaleczonego ciała wyprowadził. Olga najwidoczniej uznała w Borysie ojca, bo zaraz potem, patrząc mu prosto w oczy, powiedziała do niego „tata”.

Odzyskanemu spokojowi duszy nie chciał jednak towarzyszyć spokój ciała. Borys Nikołajewicz zaczął podupadać na zdrowiu. Miał poważne trudności w oddychaniu, duszności i chroniczne uczucie zmęczenia. W krótkim czasie przybył gwałtownie na wadze i niełatwo mu się było poruszać z uwagi na wzmożone napięcie mięśniowe oraz przykurcze w stawach. Dokuczały mu też wysokie skoki ciśnienia oraz stany gorączkowe. Profesor Kazarin wykorzystywał całą swoją wiedzę medyczną, by pomóc pacjentowi, którego z oczywistych racji uważał za oczko w głowie, nie mniej jednak nic nie mógł poradzić na tak ewidentne, uogólnione objawy odrzucenia przeszczepu. Zwiększał wielokrotnie dawki leków immunosupresyjnych, jednak na nic się to nie zdało. W mroźny dzień zimowy, mniej więcej dokładnie w dwa lata po cudownym przywróceniu do życia, Borys Nikołajewicz zmarł.

Po długiej rozmowie z Anastasiją Pietrowną, Profesor Kazarin zdecydował potajemnie rozdzielić złączone ciała, na powrót łącząc głowę nieboszczyka z prochami, które trzymał w piwnicach swojej kliniki, a które pozostały po skremowaniu dawnych jego szczątków. Obaj rywale pochowani zostali na Cmentarzu

Bajkowym, w znacznej od siebie odległości. Mocno uszczuplone Zwłoki Elegancka – jak się okazało – od roku już miały tam swoją kwaterę. Całkiem przyzwoite M –pół w części zamieszkałej, a raczej zależącej przez wojskowych i inne służby mundurowe. Trafic do niej było nietrudno z uwagi na przytwardzone do obeliska śmigło. Wyrity w kamieniu napis głosił: MJR. DMITRIJ ALEKSIEJEWICZ PANFIŁOW. 1941 – 1976. PILOT. ZGINAŁ ŚMIERCIĄ BOHATERSKĄ. Z celuloidowej fotografii spoglądał na oszołomioną Anastasję zabójczo przystojny mężczyzna z bujną czupryną, kształtnym nosem i ciemnymi jak węgle, ognistymi oczami. Oczy te więziły jej spojrzenie, hipnotyzowały ją podobnie jak pamięć dotyku mesmerycznych rąk. Utraciła go, nim poznała. Przeszył ją ból i żal o szczęście, którego zaznała w nieprawdopodobnych wręcz okolicznościach; darowane i odebrane jej przedwcześnie dziwnym zrzędzeniem losu.

Anastasija odwiedzała oba groby co najmniej raz w miesiącu. Mała Oleńka kładła kwiatki zawsze najpierw na grobie taty, a potem – na grobie „wujaszka” Dimy. W tak zwane „Grobki”, czyli majowe Święto Zmarłych, gdy układała kwiaty na grobie Kochanka, zastał ją przy mogile mężczyzna bliźniaczo niemal do niego podobny – Dmitrij Aleksiejewicz przyjaźnił się z moim mężem, byli ze sobą bardzo zżyci. Często gościł w naszym domu – speszona, pośpiesznie kłamała jak z nut i czuła, że mówi prawdę.

Siemion opowiedział jej o swoim starszym bracie, pilocie samolotu desantowego AN -12, który rzuciwszy się na pomoc młodemu chłopcu, zdołał w ostatniej chwili odepchnąć go od rozpędzającego się śmigła, jednak sam przy tym został śmiertelnie raniony w głowę. Zmarł wskutek odniesionych ran. Za ów dzielny czyn został pośmiertnie awansowany z rangi kapitana do majora. Jego korpus – jak poufnie wyznał nieznajomej – został przeszczepiony pewnemu człowiekowi w ramach eksperymentu medycznego. Kim jest ów biorca, tego chirurdzy nie chcieli mu zdradzić, a on nie nalegał. Zgodę na przeszczep wyraził, gdyż wydało mu się to szlachetne, sensowne i pożyteczne dla nauki. Jakiś czas potem otrzymał jedynie zapewnienie, że przeszczep się udał i że biorca w wyśmienitym stanie pędzi dalszy żywot. Siemion wciąż wierzy, że rozpozna kiedyś swego brata w osobie innego mężczyzny i że poda mu rękę. Dmitrij zmarł w stanie kawalerskim. Prawdopodobnie nigdy nie był związany z żadną kobietą. Tego Siemion żałował najbardziej, gdyż brat nie pozostawił po sobie żadnego potomka.

Układając kwiaty na grobie, z sercem pękającym z żalu, Anastasija największym wysiłkiem woli powstrzymała się przed wyznaniem prawdy. – Jeszcze nie teraz – pomyślała.

Profesor Kazarin nigdy już więcej nie podejmował prób transplantacji ludzkiej głowy na korpus innego osobnika, a przynajmniej – nagabywany przez media – z uporem twierdził, że zabieg taki nie jest możliwy. W województwie

połtawskim jednakże prawdopodobnie żyje dorosła już dziś kobieta, która jako niemowlę uległa straszliwemu poparzeniu i której pewien tajemniczy chirurg przeszczepił głowę, wykorzystując ciało innego dziecka ze stwierdzoną śmiercią mózgową. Jedyne jej problemem jest dążenie do ukrycia na szyi cieniutkiej blizny.

NAGRODA IM. JÓZEFA MAJKOWSKIEGO
KATOLICKIEGO STOWARZYSZENIA CIVITAS
CHRISTIANA W GDAŃSKU

ARKADIUSZ STOSUR

* * *

ONA. PODCHODZENIE.

na tantym brzegu rzeki
jest przecież inaczej. Tam zielono
i ciepło, a tutaj tylko krzaki
i jakieś mizerne usychające kwiaty.

Co ofiarować jej, jak opowiedzieć
tę zwykłą historię? Jak ocalić pamięć
o niej? Wszędzie dobrobyt, nowe
wynałazki i obce słowa. Próbuja

odnaleźć, zatrzymać siebie,
złożyć ofiarę z chwili, w której
byliśmy razem, w jednym oddechu,
lustrze spojrzenia. Chcę ją pamiętać

jak ikonę, jak żywą rzeźbę, w rozpaczy
i szczęściu. Jak część mojego ciała,
z którego urodzi się modlitwa. Podchodzę
do niej, dotykiem przenikam ciało i krew.

NAGRODA ZARZĄDU GŁÓWNEGO
ZRZESZENIA KASZUBSKO-POMORSKIEGO

KAROLINA SERKOWSKA

* * *

të nalôżł mie
na kùńcu sztrasë
zelony
jô lubiã
blós tã zeleznã

jesmë pòtkelë sã
na lesny stegnie
jô nie wiedza
co rzec
czej nie czëje
sã nick

òczarzelë jesmë
siebie
na zëmòwim
abò słuńcowim
pierszim balu
tak baro
rozparmienionô
jô żëła

të wëbrôł
mój strach
niespòdzajno
ò smrokù
nòsmùtniejszim
rozegra sã
na gòracy binie
szôlonô przigòda

w chtërnã starnã
mùszã dzysô
zwrócëc ùsmiëch
na przëwitanié
twòjich słuńcowników?

NAGRODA ODDZIAŁU MIEJSKIEGO
ZRZESZENIA KASZUBSKO-POMORSKIEGO
W LĘBORKU

ZBIGNIEW JANKOWSKI

PÒGREŃCZÉ
mòji sostrze

Mój rodny dodóm stoi na rozéndze
Dlò jednëch stoi òn na kùncu
Dlò jinëch na samim zòczątkù
Dlò mie stoi òn na pògreńczu
Dwùch dargów – pólny i asfaltowi
Dwùch dargów – dzectwa i staroscë

Zdrzącë do wschòdającégò zëcégò –
- Pò lewi móm pseudoprzińdnatã
A pò prawi pamiãc
Pò lewi zëcé nekò z rumòrà mòtórow bezmëslnotë
Z dzysdniowim trzòskã, bez zamëszlëniégò

Mòzëbno je scëszëc òknã z PCV – fabrikatã dniów òstatnëch
Ale to nie òdmłodzi mie, nie zabije mòji pamiãcë
Nie zabije môla pierszégò mòjégò wrzeszczeniégò
Môla bòlëznë òstatny i trzeci redotë mòji Nënczi
Môla, dze – jazlë jã móm – òdebròl jem swiãdã
Chtërna rozriwónò je przez tereczasnotã

„Zdrzącë” wcyg do „wschòdu” słabszim prawim ùchã
Wëchwëtiwóm no, co dówné, pròwdzëwé
Zòs lewim, czëjącym – czë gwës(?) – dzysdniowé i prziińdné

Wstòjóm pòrene i zdrzã na òbiedwie dardzi
Jedna i drëgò pùlsëją zëcym
Ale jaczim?

Pò prawi Nënka, Òjc, Bracyna, sąsôdzë i dzectwò
Pò lewi henetné teskniączczy, UB i wezdrzenié do lepségò
Dzys to nie je prôwdą, nie je aktualné i nie taczé krótczé

Dzys krótszi, prôwdzëwsi je klãgòr trulôcza
Jazgòt jastrzãba czë téz mészniaka
Chtërne bûdzą òczarzenié ù mòjégò sëna
Hewò tu pòczâtégò

Dzysò sztërk cësze w ògardze – starszim niglë jò –
Wachòwanié szarégò psa, chtëren òddówò miłotã
Sztërk, czej òbadwa ùcha nibë czëją tak samò
Czej gwiónzdowné niebò – tak jak nigdë w miesce –
Czej latosé wiodro – taczé westrzódzemnomòrszczé, ceplé
Taczé swiãtozemné

I ta Òjcowskò gòscëna miłoserdzò
Fùl ùcemiãdzi i cepla¹

Niech nigdë nie zabòczã nógò pògreńcza

zëlnik 2002

¹ Pielgrzimka Òjca Sw. Jana Pawła II

NAGRODA
BURMISTRZA MIASTA ŁĘBORKA

ZBIGNIEW RADOSŁAW
SZYMAŃSKI

TARCZA NIPKOWA
(Tryptyk)

Wśród morenowych wzgórz, nad Łeby wstęgą,
Kiedy gwiazd łzami sierpień Łębork zrasza,
Otwieram okno, płomień dnia przygasa,
Po mlecznej drodze iskry Perseid biegną.

Niebo gwiazdziste zawiesza nade mną
Prawo moralne, co otula ziemię.
Czy w świecie znają marzeń moich cienie,
Lustra księżycy widzą stronę ciemną?

To ja Paul Nipkow, siedząc w oknie marzę
Że mi się uda, co widzę zapisać
I gdzieś w odległe strony to przekazać,

By kto chce moje marzenia odczytał
I bym po latach w odległym Berlinie,
Dzieciństwa szczęsną odtworzył godzinę.

* * *

Ten pojedynczy, świecący punkt gwiazdy,
Który Trzech Króli przywiódł do Betlejem,
Był dla mnie znakiem, że i obraz każdy
Miliardem punktów świetlnych tworzy dzieje

I że jak w tarczy księżycy odbity
Ruch wszelki, który życie w całość splata,
Tak da się przesłać, co dotychczas skryty,
Obraz w najdalsze zakątki wszechświata.

Dziś, gdy w Berlinie swoich dni dożywam
Widząc szaleńców, ogarnia mnie trwoga.
Rozbić świat, by go złożyć? - myśl wątpliwa,
Wydaje im się, że prześcigną Boga.

Więc, gdy przed Tobą wreszcie Panie stanę,
Ułamkiem Twego zamysłu całości,
Wybacz mi proszę - tak niewiele chciałem.
Chciałem byś obraz tak bliski mi nosił,

W Tarczy Nipkowa, to co zapisane,
Widząc przychylniej żebyś spojrział na mnie.

* * *

Lat minie sporo. Ulicą Młynarską
Idziesz poeto w wiersz swój zapatrzony.
W witrynach sklepów widząc życia łgarstwo
Chcesz, by wers każdy tonem brzmiał spiżowym.

Mijas dom w którym ja także marzyłem,
Żeby w spiż ubrać ulice Lęborka
I przesłać obraz czasu w którym żyłem,
By z waszym czasem mógł się w świecie spotkać.

Ty czas poeto swój ubierasz w słowa,
Ja go utrwalam na Tarczy Nipkowa.

NAGRODA
DLA MŁODEGO TWÓRCY LĘBORSKIEGO

IGA KARDAS

Tam, gdzie dogasa poranne Słońce
Gdzie Księżyc olśniewa nagością
Za kurtyną deszczu
Tuż nad horyzontem
Siedzi poeta
Zastygł w skupieniu
Jego myśli błyszczą w zbożu
Zapachem chabrów falują na wietrze
Słowa leniwie skapują na kartkę
Posłusznie trzepoczą skrzydłami
Słowa, jak ćmy, fruną do światła
Pragnąc wyrwać się z Mroku
Objają się o szklane ściany Idealnego Świata

Kiedyś napiszę dla Ciebie wiersz
Pełen ciepła, na chłodne wieczory
Ubiore go w słońca promienie
Poprzetykam wrzosem
Żeby zawsze wyglądał odświeżenie
Poliki mu musnę zapachem malin
We włosy powplatom jesienne liście
W kieszeni ukryję śpiew rajskiego ptaka
I szum strumyka
Tchnę w niego życie pachnące lasem
Pełne uśmiechów
Radością ruszę serca dzwon, który bić nie przestanie
Jeszcze, na koniec, sypnę księżycowym pyłem
Zobaczysz-będzie się mienił
Nawet gdy zgasną wszystkie gwiazdy
I jeszcze przepasam kokardą
Utkaną z pajęczyn i tęczy
Do ręki wetknę koniczynę
Czterolistną-by przyniósł Ci szczęście
Gdy będzie gotowy-zapoznam go z Tobą
Dostaniesz go na własność
Będzie Twoim przyjacielem
Gdy ciężkie dni zaskoczą
Obejmie silnym ramieniem
Srebrną łzę odgoni w niepamięć
Szepnie Ci do ucha głosem Twoich córek-
-„Kocham Cię mamo.”
Dobre dni przypomni

Do druku przygotowała
MIEJSKA BIBLIOTEKA PUBLICZNA w LĘBORKU

Rysunki
Jagoda Jędrzejewska

ISBN 978-83-60731-10-9

Wydano nakładem:
Miasta Lęborka
Miejskiej Biblioteki Publicznej w Lęborku
Oddziału Wojewódzkiego Katolickiego Stowarzyszenia Civitas Christiana
w Gdańsku

Projekt składu i druk
DRUKRANIA BOXPOL
ul. Wiejska 28, 76-200 Słupsk
tel./fax 59 842 43 71
e-mail boxpol@post.pl
www.boxpol.pl